Nr. 268. Lwów — Piątek dnia 20 Listopada. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie 4 ct.
na prowincyi 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, przy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla banków, odczytów i koncertów, wszelkie [illegible] składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata [illegible] w kraju i w Austryi [illegible] — za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy słać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy [illegible]

Nadesłane na trzeciej stronicy [illegible]

Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. [illegible]

Ogłoszenie nad przeglądem politycznym [illegible] od wiersza.

Dziś: Czw.? św. Feliksa de Val. Mychała Arch. | Jutro: [illegible] Ofiarowanie NMP. Onyzifora | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca g. 7 m. 22, Zachód „ 4 „ 10 | Długość dnia g. 8 m. 48, Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 19 listopada.

Krytyka stosunków w Królestwie Polskiem nie ustaje w niezawisłych rosyjskich dziennikach, już nawet widać ataki na czynowników, którem ta prasa wprost zarzuca intrygi na szkodę rosyjskiej sprawy w Królestwie. Warszawska cenzura zmusza dzienniki polskie ogłaszać zjadliwe artykuły szowinistów ze szkoły Katkowa, a nie pozwala im powtarzać artykułów życzliwych Polakom. Niedawno *Kraj* ogłosił dobrą rozprawę o konieczności pogodzenia żywiołu polskiego z rosyjskim i o potrzebie wspólnej tych żywiołów pracy nad ideą państwową; pewien dziennik polski w Warszawie zaraz chciał powtórzyć tę rozprawę, lecz cenzura nie pozwoliła. Widać z tego, że czynownictwo nie chce załagodzenia walki, co jest zrozumiałe, bo z niej ciągnie ono osobiste zyski. Zdaniem *Petersburskich Wiedomości*, są w Rosyi czynniki tak zaślepione egoizmem, że radeby stworzyć w Królestwie [illegible] stosunków poznańskich, gdzie całkiem stowarzyszenie hakatystów postępuje w sposób godny największej pogardy. Pismo to potrąca także o sprawę unicką zupełnie tak, jak p. W. R., o którego broszurze pisaliśmy niedawno; więc w liście z Warszawy ogłasza takie słowa: „Jesteśmy wszyscy niezadowoleni ze stanu sprawy unickiej; ani duchowieństwo prawosławne, ani rosyjski ludność w kraju, ani nawet administracya nie jest w stanie znaleźć rozwiązania tych stosunków. Duchowieństwo unickie [illegible] ... znajduje się w ciągłym kłopocie, bo zgoła nie wiedzą, co począć z tym biernym, ale twardym jak skała uporem byłych unitów. Wytwarza się stan nienormalny w państwie zorganizowanem, mającem kodeks cywilny; nie ma chrztów, ślubów, pogrzebów; tysiące żyją bez kościoła, umierają bez spowiedzi. Okropne stosunki! — a są one prostem następstwem działalności rozpoczętej bez namysłu i obrachowania, wykonanej pospiesznie i nieumiejętnie. Rana to jest, rana żywa, krwawiąca i widzi ją każdy, kto jeno zajrzy do okolic, zamieszkałych przez dawnych unitów, widzę ją, ilekroć pomyślę o tej sprawie — i zgania mię wielka boleść. [illegible] przez wiekami braci, przygarnąć ich do łona narodowej cerkwi — czyż nie było to dzieło szczytne? [illegible]

Dalej pisze ten dziennik, że wbrew „zbyt optymistycznym" — jak się wyraża — raportom urzędów administracyjnych, liczba tak zwanych „opornych", t. j. wytrwałych potajemnie w unii, jest bardzo wielka, ale dokładnie określić jej niepodobna. Dałoby się to uskutecznić podczas zamierzonego powszechnego spisu ludności, gdyby każdemu mieszkańcowi pozwolono zupełnie swobodnie podać do rejestru, jakiej jest religii. Ale właśnie dla Lubelskiego i Siedleckiego postanowiła władza administracyjna przepisać inną metodę postępowania przy spisywaniu ludności, aniżeli będzie się postępowało wszędzie indziej. Podczas gdy w całem państwie mieszkańcy osobiście będą dyktowali wszystkie dane o sobie, w Lubelskiem i Siedleckiem urzędnicy spiszą ludność i szczegóły o niej podług wykazów gminnych. „Oczywiście — pisze *Petersburskie Wiedomości* — nie wiemy po co ten wyjątek z ogólnej reguły, lecz przewidujemy, że z powszechnego spisu ludności nie dowiemy się nic o liczbie „opornych".

Rzecz naturalna, że ten dziennik bardzo dobrze wie po co ten wyjątek. Liczba opornych jest tak wielka, że ogłoszenie jej wykazałoby zupełne niepowodzenie akcyi, która kosztowała ludu tyle krwi, tyle łez, tyle rozbitych istnień, i na którą rząd wydał moc pieniędzy, orderów i dystynkcyj. Takich nieudałych, a dodajmy — i sromotnych spraw nie pokazuje się światu. Dobrze jest jednak, że uczciwi ludzie mogą już w Rosyi głośno się odzywać o tych rzeczach i budzić publiczne sumienie. Rzyga stawia pierwszy konieczny krok do naprawy stosunków.

Warunki traktatu pokojowego z Abisynią nie zadowoliły większości włoskich dzienników głównie z tego powodu, że ostateczne wytknięcie granicy terytoryalnej pozostawiono na później; specyalni delegaci włoscy i abisyńscy porozumieją się co do tej granicy, a pracę swą powinni ukończyć w ciągu roku, licząc od dnia podpisania traktatu, a więc od 26 października. Owoż podejrzywają owe dzienniki, że gabinet Rudiniego, zawsze nieprzychylny rozszerzaniu kolonii erytrejskiej, zamierzył przez ten czas zwolna przygotować opinię publiczną do bardzo znacznego uszczuplenia kolonii, mianowicie do zamknięcia jej w granicach, idących od Massawy do Asmary, co oznacza powrót do stanu, jaki był zaraz po pierwszem zajęciu przez Włochów części czerwono-morskiego wybrzeża. Zdaniem opozycyjnych dzienników, to już jest rzecz postanowiona z Menelikiem i tylko jeszcze na razie trzymana w tajemnicy, ale zapewne się to wyda i z innego paragrafu traktatu, w którym powiedziano, że jeśli kiedykolwiek Włosi zechcą komubądź ustąpić coś swej kolonii, to muszą o tem zawczasu zawiadomić Abisynię, która otrzymuje prawo pierwszeństwa do nabycia tej części. Z tego wszystkiego wynika, że sam gabinet czuje, że już istnieje zamiar uszczuplenia kolonii, bo w przeciwnym razie nie wstawionoby takiego paragrafu do traktatu pokojowego.

Taki domysł opozycyjnych dzienników może być trafny, albo zupełnie fałszywy. Nie możemy, ani powodu nie mamy rozwiązywać tej zagadki, lecz [illegible] uwagi niezadowolonych z traktatu, możemy powiedzieć, że jaka wojna, taki pokój, wojna zaś była dla Włoch fatalna. Oto jej przebieg. Rok temu, 9 go października, Baratieri z szesnastu batalionami piechoty bez wypowiedzenia wojny, wdarł się w abisyńską prowincyę Tigrę, przepłoszył jej wice-króla Mangaszę, którego wojsko poszło w rozsypkę, zajął stolicę Makalę, potem warowny punkt Antalo — i wojna się skończyła. Tigra zdobyta, duchowieństwo witało zwycięzców procesyonalnie, lud się korzył, a w parlamencie włoskim zrobiono owacyę dowódcy Baratieremu. We miesiąc później, 7-go grudnia, wojsko Menelika napadło na graniczny posterunek włoski pod Amba-Aladżą, gdzie dowodził major Toselli; krwawa bitwa skończyła się wyrznięciem Włochów. Minął [illegible], Baratieri nic nie uczynił i oto 7-go stycznia b. r. Menelik posunął się do Makali, [illegible] kilometrów do Adigradu, zostawiwszy majora Galliano, który wytrzymawszy długie oblężenie, złożył broń i pod abisyńską eskortą odszedł do obozu jenerała Arimondiego. Znowu szereg klęsk, a Baratieri spokojnie stał w Adigracie, ustawicznie zmieniał szyk swej 20-tysięcznej armii, podczas gdy Menelik zajmował coraz nowe pozycye. W końcu lutego nadeszła wiadomość, że jenerał Baldissera mianowany naczelnym wodzem wojsk erytrejskich i on prawie potajemnie odpłynął z Neapolu do Massawy, gdzie stanął 4 marca. Tymczasem jednak Baratieri zdecydował się na bitwę, którą też wydał Menelikowi 1 marca pod Adową. Nazywają ten bój włoskim Sedanem, lecz trafniejszem byłoby porównanie z Waterloo, bo była rzeź formalna, która położyła koniec studniowej kampanii i jak Napoleon z pod Waterloo, tak Baratieri z pod Adowy umykał bez broni, bez kapelusza, opuszczając [illegible] swej armii. Tą rzezią skończyła się wojna, a nowy porządek rzeczy: zupełną niezawisłość Abisynii i utratę przez Włochów Tigry, powstanie w Afryce regularnego państwa, które zdobyło wszystkie prawa i poważanie Europy — to wszystko sankcyonuje traktat pokoju, ułożony 26 października, a już podpisany przez króla Humberta.

Ten krótki szkic przebytej kampanii wskazuje, że ze strony włoskiej był szalony hazard. Wytłómaczenia jego znajdujemy w wydanej niedawno po włosku książce, której autorem jest podobno Baratieri, ten nieszczęśliwy wódz, żyjący na dobrowolnem wygnaniu. W formie listów do ukochanej kobiety, jakiejś Amerykanki z Bostonu, autor opowiada, jak to ten szarlatan Crispi, którego odrazu na początku rekomenduje jako złodzieja, gdyż pisze o nim, że kiedy z Garibaldim, jako jego sekretarz, wszedł do Palermo, aby stamtąd wyrzucić dynastyę burbońską i przyłączyć Sycylię do Włoch, to najpierw wpadł do skarbca, gdzie napchał swe kieszenie — przeszło milionem lir, poczem się ulotnił. Dalej opowiada autor, jak się obławiał Crispi na konfiskacie majątków kościelnych, jak sprzedawał włoskie ordery zagranicznym rycerzom giełdy, jak w prywatnych procesach cywilnych frymarczył sprawiedliwością, dając wygraną tym, od których brał łapówki, i jak wszystkie te bogactwa trwonił jego przyjaciółki i jego synowie. Długi szereg takich oskarżeń [illegible] Crispiego, więc aby się utrzymać, omamił on króla całą potęgą swego przebiegłego umysłu, że dla dobra dynastyi i dla świetności korony, koniecznie potrzeba, aby król włoski był cesarzem etyopskim, jak królowa angielska jest cesarzową Indyi. Dlatego właśnie kazał Baratieremu wykonać w październiku roku przeszłego najazd na Tigrę, pomimo usilnych protestów tego jenerała. Przyrzekał mu posiłki i pieniądze, ale nic nie dał, raporty jego zatajał przed ministrami, przed parlamentem fałszował stan rzeczy w Erytrei, słowem, przeszarlatanił kolonię afrykańską, życie kilkunastu tysięcy żołnierzy, reputacyę armii włoskiej i dobre imię Baratierego.

Autor tej książki za wiele czarnych barw użył do portretu Crispiego, zanadto go nienawidzi, aby mógł być bezstronnym. Jednak rzeczywiście, szalona lekkomyślność, z jaką gabinet Crispiego traktował tę wojnę, pozwala przypuszczać, że zaczął ją i prowadził ten Bismark włoski głównie, jeśli nie jedynie, dla swego interesu.

Korespondencye.

Warszawa 9 listopada.

Oprócz wielu innych kwestyj, jakie się u nas w ostatnich czasach wyłoniły, jest na porządku dziennym „kwestya karciana", która tlejąc się przez długie lata w ukryciu, wybuchnęła nagle jaskrawym płomieniem. Faktem jest, że Warszawa, nie chcąca i pod tym względem ustępować wielkim stolicom, liczy sporo ofiar karcianego hazardu, a obok nich nie mniejszy zastęp zawodowych graczy. Zgrywają się jedni u siebie lub u przyjaciół, a więc w miejscach, w które trudno wglądać prasie i kodeksowi, inni znowu tracą majątki w resursach i klubach, które są już instytucyami prawie publicznemi. Wszyscy o tem oddawna wiemy, a i prasa o tem niejednokrotnie wspominała, zawsze jednak dotąd w formie humorystycznej. Dopiero kilka ostatnich nazbyt już głośnych i nazbyt poważnych faktów, które podkreśliła śmierć samobójcza młodego panicza, „do nitki" zgranego w jednym z klubów, ukazało nam inną wcale niehumorystyczną stronę tej sprawy. Zaczęto ją publicznie rozbierać i publicznie krytykować, a zapowiedzią pożądanej reformy jest już dziś fakt, że na ostatniem zwyczajnem posiedzeniu członków „Towarzystwa racyonalnego polowania" wystąpiono z wnioskiem zniesienia gry hazardowej w lokalu Towarzystwa. Czy wniosek ten utrzyma się, a zwłaszcza czy utrzyma się na długo, można wątpić. Karciarstwo jest stałą plagą życia klubowego na całym świecie i pomimo podnoszonych przeciw niemu krzyków, uporczywie się jako zastarzałe złe utrzymuje.

Szereg odczytów w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpoczął prof. Wojciech Gerson obszernym wykładem dziejów sukni od czasów zamierzchłych aż do ostatniej chwili. Trzy są główne rodzaje okoliczności, zmuszające ludzi do szukania okrycia — zaznaczył prof. Gerson — mianowicie: 1) wilgoć i zimno, 2) poczucie wstydu, 3) chęć przyozdobienia się. W czasach najodleglejszych w okolicach ciepłych, ubiór ludzi składał się z kwiatów i liści, w stronach chłodniejszych pierwszem okryciem były skóry zwierząt. Z narodów głębokiej starożytności najobfitszy materyał do skreślenia historyi ubiorów pozostawili Egipcyanie. Kostyum ich składał się pierwotnie wyłącznie z koszuli bez rękawów u mężczyzn do kolan, u kobiet zaś długiej po kostki. Z wynalezieniem farbiarstwa, ubierano się w jaskrawe tkaniny, na głowie noszono zawoje białe lub czerwone, później weszły w modę różnokolorowe peruki. Przez długi przeciąg czasu w starożytności uchodzili Egipcyanie za największych elegantów. Następnie mówił szanowny profesor o strojach Fenicyan i Indyan — poczem przeszedł do kostyumów w Helladzie. Piękny i łagodny klimat Grecyi klasycznej pozwalał Grekom używać lekkiego stroju, którego podstawą była pewnego rodzaju koszula, zwana chitonem. Na chiton ten wkładano suknię długą i obszerną himatim, zbliżoną bardzo krojem do dziś dnia przez Hiszpanów używanego płaszcza. Grecy eleganci za punkt ambicyi uważali sobie, aby himatim była nadto pięknie udrapowana. Rzymska toga podobną była do greckiego himatim. Z rozrostem potęgi Rzymu poczęły napływać do ówczesnej stolicy świata ubiory ludów podbitych i powoli wypierały pierwotny strój Rzymian. W ogóle do czasów Karola Wielkiego spotykamy w ubiorach bardzo mały postęp, który ogranicza się na używaniu coraz kosztowniejszych materyałów. Dopiero wojny krzyżowe i zwiększenie się znaczenia rycerstwa, wprowadziły pewną dbałość o strój. Prawdziwą rewolucyę w ubraniu robi ukazanie się w XIV wieku bielizny. Pierwsze koszule były tak długie, że wyglądały z pod płaszczy. Aby się módz bielizną pochwalić, nosiły zarówno kobiety jak mężczyźni rozcięte rękawy wierzchnich ubrań, zaś kobiety nosiły nawet spodnice, rozcięte z obu boków. Prof. Gerson wygłosi jeszcze kilka odczytów na ten temat — a opierając się na gruntownej pracy Matejki, da nam pogląd o rozwoju strojów u nas.

Trudno przewidzieć, jaki rozmiar będzie miała z czasem Warszawa, dziś już jednak wiele otaczających ją wsi straciło charakter wiejski i wygląda, jak przedłużenie miasta. W liczbie tych na poły miejskich wiosek pierwsze miejsce zajmuje Mokotów. Wznoszą się tam już dziś wysokie kamienice, błyszczą wystawy sklepów, dymią kominy fabryk, prawdziwych zaś chłopów w siermięgach i baranicach na lekarstwo nikt nie znajdzie. Cóż dopiero będzie, gdy na ulicach Mokotowa zabłyśnie gaz i gdy ulice te pozyskają chodniki, — do czego czynią się właśnie przygotowania. Jedno w tem wszystkiem zadziwia: dlaczego spekulacya budowlana nie zwraca się w tę stronę i dlaczego Warszawiacy, biadający na niewygodę i drożyznę w środku miasta, nie chcą osiedlać się za miastem? Regularna komunikacya tramwajowa najzupełniej osiedlanie się to umożliwia. W komunikacyi tej mają zajść gruntowne zmiany. Postanowiono już w zasadzie nie używać koni do tramwajów, zastępując je sztucznym motorem. Co jednak nim będzie: para, benzyna, czy elektryczność? dotąd nie wiadomo. Próby z jednem, drugiem i trzeciem mają odbywać się wkrótce na specyalnej linii, a od wyniku ich będzie zależał wybór motoru.

Wystawa „konia w malarstwie" cieszy się ciągle nieprzerwanem powodzeniem. Znajdują się na niej obrazy pierwszorzędnych naszych artystów żyjących, co dało komuś powód do uwagi, że „kilka dziesiątków lat liczy dopiero nasza sztuka i tyleż liczy koń w polskim malarstwie. Dowodzić zaś tego ma okoliczność, że ani Żebrowski, ani Radwański, ani Czechowicz, ani Smuglewicz, dzieł, którebyby dawały pojęcie o naszym koniu, nie zostawili. Jest to wielka prawda, ale jakże mieli zostawić, kiedy pierwsi dwaj wyłącznie a dwaj ostatni przeważnie malowali obrazy kościelne i bodaj, że ani jeden koń, nawet apokaliptyczny z pod pędzla żadnego z nich nie wyszedł.

Z niemałą ciekawością hygieniści i moraliści naszego miasta oczekują wprowadzenia w granicach królestwa wódczanego monopolu. Zmieni on u nas z gruntu wiele rzeczy, zmiany potrzebujących. Zgadzają się wszyscy, że bezpośredniem następstwem monopolu będzie zmniejszenie się konsumcyi alkoholu, a więc i pijaństwa. To ostatnie zaś szerzy się w naszem mieście bardziej, niżby się spodziewać należało. Po zaprowadzeniu monopolu Warszawa będzie posiadała 64 rządowych składów spirytusu. Dość porównać tę cyfrę z cyfrą obecnie istniejących szynków, które się u nas na setki, jeżeli nie na tysiące liczą! A większość tych szynków nie ogranicza się do handlu napojami spirytualnemi; szynkarze dodają doń zyskowniejsze jeszcze procedery, jak stręczycielstwo wszelkiego rodzaju i paserstwo. Przerażający, bo 40% zgonów na katar kiszek i żołądka, pochodzi z używania sfałszowanych, zabarwionych olejkami alkoholów. Tak twierdzą lekarze tutejsi — a prawdą to jest zbyt smutną, aby nie przyjąć z radością zapowiedzianego monopolu.

Wiedeń 17 listopada.

(*i.*) Że się przebieg węgierskich wyborów dr. Luegerowi nie podobał, to rzecz naturalna i pewno wielu z nim w tym wypadku zdanie i zapatrywanie podziela. Że dalej, gorące napaści prasy węgierskiej w ostatnich dniach przeciw Austryi i wewnętrznym stosunkom austryackim nawet i spokojniejsze umysły po tej stronie Litawy podrażnić mogły, szczególnie gdy występował z niemi tak blisko rządu węgierskiego stojący *Nemzet*, to także da się zrozumieć. Ale mimo tego Rada państwa austryacka nie jest chyba właściwem forum do weryfikacyi wyborów węgierskich i z wielkim patosem stawiane przez Luegera pytania, czy nowa reprezentacya parlamentarna na Węgrzech, która z nami ugodę zawierać będzie, jest też rzeczywistą, prawdziwą przedstawicielką kraju, dla ugodowych kontrahentów po stronie austryackiej obojętnem być może. A jednak wczorajszy wniosek Paťaia i Luegera o natychmiastowe wypowiedzenie traktatu celnego i handlowego z Węgrami nie miał innego celu, jak tylko wywołania dyskusyi o wewnętrznych węgierskich sprawach. Bo zaraz na wstępie odpowiedź ministra handlu, że rząd o terminie wypowiedzenia rzeczonego traktatu nie zapomina i że jeszcze w bieżącym roku wypowiedzenie to nastąpi, odejmowała niejako odrazu racyę bytu debacie nad wnioskiem, któremu w ten sposób uczynionem będzie zadość. A jednak debata się wywiązała i padło niejedno ostre słowo, które z pewnością nie może się przyczynić do tak potrzebnego w ugodowym właśnie okresie ugodowego usposobienia. To też minister-prezydent z całą stanowczością zastrzegł się przeciw tego rodzaju krytyce i igraniu „z czcią i powagą tak ściśle z nami połączonej drugiej połowy monarchii", zwracając równocześnie uwagę na niepatryotyczne utrudnianie takimi występami dzieła ugodowe-

---

49)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem

przez

Anatola Krzyżanowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Ptaszyno moja słodka, oby tylko prąd ów skrzydeł twych nie zwichnął. Pamiętaj, że mają mi one wskazywać kierunek, wieść ku dobru i prawdzie, ku pięknu, którego jesteś dla mnie uosobieniem, ku światłu, ku słońcu!... Tem światłem, Szczęsno, ty mi będziesz; tem słońcem — życie wyższe po nad banalne cele i małostki, szlachetnej idei poświęcone, a na wielkiej naszej miłości oparte.

Mówił ze wzruszeniem, czerpanem w głębi jej źrenic przeczystych. Oczy jego wszakże zapalały się stopniowo, aż Szczęsna pod ogniem spojrzenia tego śliczną swą pochyliła główkę.

— To ty, Zygmuncie — odparła ze słodką pokorą — powiedziesz mnie na wyżyny, bo tobie tylko orle szlaki przystoją.

XIX.

Rozmowa z narzeczoną była pierwszym oddawna jaśniejszym promieniem w stosunku Zygmunta do Zaliwiec. Śmierć prezesa, pomimo całego bólu moralnego, jaki sprawiła rodzinie, zdawała się błogosławione przynosić owoce. Znaczny kapitał, zapewniony przez polisę asekuracyjną, pozwalając spłacić wierzycieli sumą szacunkową majątku, ratował byt rodziny i ocalał przyszłość Konieckiego.

Uszczęśliwiony, iż danem mu będzie nareszcie wyjść z roli biernej, bezczynnej, w której każdy krok śmielszy mógł być źle tłómaczony, jako przyczyniający się do zguby Zaliwskich, Zygmunt roił właśnie nadzieje przyszłości gdy wierzchowiec, na którym wracał do Dowburtówki, zarżał nagle, a zdala drugie odpowiedziało mu rżenie.

Zbudzony z zadumy, jeździec podniósł głowę. Naprzeciw niego pędziła w śmiałym galopie panna Miła Sławińska. Musiała wracać z dalszej wycieczki, piękny jej biegun bowiem pianą parskał. Spotkanie stawało się nieuniknionem, tem więcej, że jadąc ze stron przeciwnych, mieli jednak oboje skręcić za chwilę w topolową aleję, wiodącą przez Koniecpol do przynależnych mu niegdyś Annopola i Dowburtówki.

Młody człowiek zatrzymał konia i uchylił kapelusza. Piękna panna równając się z nim, przyjęła powitanie to najponętniejszym uśmiechem. Lica jej aksamitne, tak łudząco do puszku brzoskwini podobne, zarumienione były od szybkiego ruchu, czarne oczy gorzały, jak dwa węgle nieledwie, obcisła amazonka uwydatniała przepyszne, pełne kształty.

— Czołem! — zawołała, oddając żartobliwy ukłon szpicrózgą.

— Okrzyk ten mnie tylko przystoi.

— Przeciwnie. Proza wieku powinna chylić czoło przed błędnym rycerzem, stojącym bodaj... u dróg rozstajnych.

Ząbki jej białe, ostre jak u wilczka, błysnęły w złośliwym uśmiechu.

— Pani sama? — podjął Koniecki, udając, że nie rozumie podwójnego znaczenia jej wyrazów.

— Nie; z przyrodą i Bogiem.

— Czyż On pani doprawdy potrzebny?

— Tak sądzę. Inaczej, przez ciąg paromiesięcznego pobytu tutaj, zadusiłby mię szatan nudy, zastoju umysłowego i martwoty.

— Dla zwycięzenia go więc jeździ pani na dalsze wycieczki sama jedna. Czy to bezpieczne?

Gama srebrzystego śmiechu zadrżała w powietrzu.

— Błędny rycerzu, sfilistrzałeś bodaj?.. — szydziła lekko.

— Jeżeli ostrożność...

— Ach, przez litość, dajże pan pokój hypokryzyi. Nie chodzi ci przecież o bezpieczeństwo, lecz wprost o zastarzałe formy światowe. Na masztalerza mnie nie stać. Byłby on zresztą śmiesznem naśladowaniem możnych tego świata. Dręczenie zaś mego ojca dalekiemi wycieczkami, dlatego, że ja lubię ruch i życie, wprost za nieludzkie bym uważała.

— Ma pani siostrę przecież.

— Och, Ania konno nie jeździ. Zbyt jest skromną i wzorową na to. Jej emancypacya nie sięga po za uprawę buraków lub chmielu.

— A pani?

— Jabym umarła, gdyby mi kto kazał stracić całe istnienie na równie ślimaczą egzystencyę.

— Może pani jednak pójść za mąż za rolnika.

— Zapewne. W takim wszakże razie celem stawałby się mój mąż, nie jego buraki. Zresztą, gdybym go kochała...

— Wtedy?

— Wtedy poświęciłabym mu wszystko i wszystkich. Siebie, świat i jego przesądy, rodzinę nawet. Nie rozumiem waszych szablonowych, bladych miłości, lecz wierzę we wszechpotęgę wielkiego uczucia.

— A czy zdołałoby ono panią ujarzmić?

— Tak. Musiałoby mię wszakże porwać, unieść, musiałoby mi sobą świat cały zasłonić. Musiałoby być jak lawa gorącem, z wulkanu serca wybuchłem, jak wicher pustyni, obalającem wszelkie zapory.

— Jak dusza ludzka nieśmiertelnem — uzupełnił żartobliwie.

— Bynajmniej. Pożar wiecznie trwać nie może, bo zwęgliłby wszystko do koła.

— A czy nie zwęgliłby i pani także?

— Mniejsza o to. Są chwile, dla których się życie oddaje.

Oczy jej aksamitne, jak żużle pałające, z namiętną jakąś siłą spoczywały na nim, postać cała gięła się ponętnie, usta purpurowe rozchylały się w uśmiechu, obietnic pełnym.

Przed kilku tygodniami, ujarzmiony zmysłowym, palącym jej wdziękiem, byłby na słowa te odpowiedział wyznaniem. Dziś, opancerzony miłością do tamtej, przez łzy i krepę wyidealizowanej jeszcze postaci, porównywał je tylko w duszy, a wraz z czcią dla Szczęsnej, wzrastała w sercu jego radość, że ta przeczysta, dla złej myśli nawet niedostępna istota, staje się jego skarbem i jego własnością zarazem.

Drobna rączka dotknęła w tej chwili jego ramienia.

— O kim pan myśli? — pytała Miła, przeszywając go spojrzeniem, w którem jakieś dziwne błysnęły iskierki.

— O mej narzeczonej — brzmiała szczera odpowiedź.

Gama srebrzystego a drwiącego śmiechu zadrgała znów w powietrzu,

— Prawda. Przecież mówiliśmy o miłości — rzuciła szyderczo. — Dobrze, że na wyjezdnem uwiozę z kraju wspomnienie tak arkadyjskiego, rozrzewniającego obrazu: Młodzieniec błądzący po polach, z myślami o swej narzeczonej a z krepą u kapelusza.

— Pani, sądzę, że krepa żałoby, to rzecz nie nadająca się do żartów.

— Ale w zamian uzupełniająca pysznie taki *Stimmungsbild.*

— Pani wyjeżdża na długo?

— Na trzy lata do Paryża. Jeżeli mi się uda przejść przez dobrą szkołę Julian'a, jeżeli tacy profesorowie jak on lub Robert-Fleury, będą mi rokowali przyszłość artystycznie świetną, poruszę wtedy wszelkie sprężyny i otworzę sobie wstęp do rządowej akademii sztuk pięknych.

— Na Boga, co pani z czterech ścian skromnego Annopola każe obrać drogę tę, pełną pracy ciężkiej, hazardu i niebezpieczeństw?

— Co? Alboż ja wiem... Może ogień, który mi w sercu czy mózgu płonie, może temperament artystyczny lub ambicya, może nierozbudzona, lecz tlejąca siła twórcza umysłu, w każdym jednak razie wewnętrzna potrzeba ducha, silniejsza nad inne względy. Zresztą, nic mię tu nie trzyma...

Dwa czarne dyamenty rzuciły ku Zygmuntowi całe snopy iskier.

— Nie trzyma pani żadna zalotna igraszka — odparł poważnie. — Sądzę wszakże, iż żal pani będzie porzucać rodziców, wiekiem pochylonych.

— O — przerwała — jeżeli chcieli mieć nas zawsze obie przy sobie, nie należało pozwolić mi na studya w Lipsku i Berlinie. Dwóch dróg tu nie ma. Równouprawnienie naukowe kobiet musi rozpraszać rodzinę, śląc z pośród nich, tak jak z pośród mężczyzn, zdolniejsze i śmielsze jednostki w świat, za chlebem, za zaszczytami i nakarmieniem głodu duchowego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

go, którego prędkie przyjście do skutku każdemu przecież leżeć powinno. Z zadowoleniem przyjęła izba dalsze zapewnienia ministra-prezydenta, że „nie dające się istotnie usprawiedliwić napaści *Nemzetu* bez wiedzy i woli rządu węgierskiego publikowanemi zostały" i że „rząd węgierski je potępia". Słowa te zawierały i godne a należyte potępienie gorszącego wybryku prasowego ze strony węgierskiej i zupełną satysfakcyę, jaką rząd tutejszy w tej mierze uzyskał.

Zresztą, podnieść to wypada, dyskusya była ogólnie spokojniejszą, niż to zwykle bywało, gdy węgierskie stosunki stawały na porządku dziennym. Miała ona nawet tę dobrą stronę, że w niej po raz pierwszy pewną zgodność i łączność wykazały rozmaite stronnictwa parlamentu austryackiego, zgodność i łączność w poczuciu warowania interesów austryackich. Poczucie to jest identyczne z intencyami rządu, a w połączeniu tych dwóch faktów leży rękojmia pomyślnego rozwiązania zadania.

Berlin 14 listopada.

Jak wam już donieśliśmy przewidywać należy w bieżącej sessyi parlamentarnej, gorącą dyskusyę na temat rozwielmożniającej się coraz to bardziej manii pojedynkowej. Ostatnie jakie dyskusyi bodźcem niedawna awantura porucznika Brüsewitza z Karlsruhe z mechanikiem Siepmannem, w której ten ostatni padł trupem dlatego, że nie chciał przeprosić Brüsewitza za lekkie a przypadkowe potrącenie go łokciem*). Fakt ten, którym podobnych było w Niemczech dużo do zanotowania, wydobył na wierzch dowody, jak przesiąkniętem jest społeczeństwo niemieckie pojedynkowemi, jako akt ... okazał ... częstokroć, że każdą ... pojęcia ... tego ... moralnej gliny.

Zabójstwo Brüsewitza wstrząsnęło całemi Niemcami. W obec uprzedzenia, że każda najlżejsza obraza, choćby nawet rozmyślna, musi być pomszczona sposobem cywilizacyi, w najlepszym razie pojedynkiem, jeżeli nie zabójstwem, ludność cywilna, która się ciągle ociera o poruczników, jest narażona na nieustanne niebezpieczeństwo. W Gocie grono obywateli z inteligencyi na czele, sporządziło petycyę, upraszającą parlament o obmyślenie środków zapobiegawczych, dla wytępienia szkodliwych poglądów na pojedynek. Petycya kursuje obecnie po Niemczech. Wszystkie redakcye pism wolnomyślnych rozesłały wydrukowane blankiety, do których petenci mają wpisać swe nazwiska. Szczególnie szkodliwem jest to pojęcie, jakoby rezultat pojedynku rozstrzygał o słuszności jednej z dwóch stron w tym wypadku, kiedy obraza polega na oskarżeniu, opierającem się na pewnych lub wiarogodnych danych. Wiadomem jest, jak baron Hammerstein groźbą pojedynku zamykał usta tym, którzy chcieli demaskować oszustwa. Niedawno nabrał to rozgłosu dusseldorfski proces spirytystyczny, który główny bohater udaremniał przez długi czas wszelkie oskarżenia i zarzuty przez to, iż oskarżycieli piętnował tytułem potwarców, kuszących się na jego honor. W kronice miasta Berlina zapisał się krwawemi zgłoskami wypadek, który dowodzi, jak spaczone pojęcie honoru łatwo może przywieść do nieposzanowania interesów sprawiedliwości. Szef policyi berlińskiej, von Hinkeldey, odkrył w roku 1856 jaskinię szulerską, w której uprawiali na wielką skalę grę hazardową junkrzy, sprawujący wysokie urzędy. Von Hinkeldey zamknął szulernię, a dwóch najgorliwszych graczy zawezwał do policyi. Jeden z nich wyzwał naczelnika policyi na pojedynek pod pretekstem, iż tenże chciał go pozbawić honoru. Hinkeldey przyjął jako ofiara gorliwości służbowej. Łatwo to było przewidzieć, gdyż słabo strzelał, gdy jego przeciwnik, Rochow, strzelał doskonale. Były skazany został na trzy lata więzienia; król jednak ułaskawił go, zmuszony do tego natarczywemi prośbami dworaków. Ruch wywołany całem zajściem, był tak gwałtowny, iż tradycya o nim zachowała się po dziś dzień w pamięci Berlina.

Przewrotne pojęcia o honorze znalazły dla siebie fatalny grunt w sferze, która choć nie tworzy klasy odrębnej, pielęgnuje w silnym stopniu tradycyę junkrów. Mam na myśli korporacye studenckie, t. zw. „burszenszafty", których członkowie spędzają czas na urządzaniu pijatyk i orgii, lub lekkiem pojedynkowaniu się. Są to t. zw. „mensury". Wszelkie dwuznaczne zachowanie się, nieodpowiednie spojrzenie, ostry dowcip, przechwałka, nieostrożny gest, — wszystko to może być powodem do walki na rapiery, która zwykle się kończy lekką raną, pozostawiającą długotrwały ślad na twarzy. Pomijając bezmyślność takiego postępowania, jest ono szkodliwem jako czynnik, wyrabiający zawadyactwo i awanturniczość w studentach. Po za obrębem koła koleżeńskiego bursz nadyma się i, przy lada rzekomem dotknięciu swego honoru, stawia kartę życia wobec tak zw. „filistra", tj. każdego obywatela, który nie jest burszem. Oprócz tego zdarzają się ciągle i w kołach studenckich pojedynki, w których przypłacają życiem ludzie w kwiecie wieku. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że w kampanii przeciw pojedynkom studenci stanęli w obronie ideałów junkierskich. Wszelkie obostrzenie przepisów przeci w mensurze byłoby równoznacznem gruntownej reformie burszowskich *Verein'ów*. *Sint ut sunt aut non sint* (niech będą dlatego, że są albo niech nie będą) — wołają pisma burszowskie. Poglądom tym wygłosił wojnę profesor historyi v. Below. W swej pracy „O pojedynku i niemieckiem pojęciu honoru" dowodzi, iż nowoczesny kodeks honorowy rozmija się z rdzennym duchem narodu niemieckiego, że od czasu, gdy prawo pięści straciło racyę bytu, władza państwowa uważała za swój obowiązek rugować wpływ gwałtu i siły z dziedziny sprawiedliwości. Proponuje on cały szereg środków, które należy wprowadzać dla wykorzenienia dotychczasowego kodeksu honorowego. Szczególnie wielkie znaczenie nadaje on sądom rozjemczym. Praca ta wywołała gorącą polemikę w sferach burszowskich powódź broszurek i uległa silnym napaściom. Zwłaszcza wystąpił przeciw niej jeden z jenerałów, gorący obrońca pojedynku. Prof. Below w nowszej pracy p. t. „Pojedynek w Niemczech, jego przeszłość i teraźniejszość", stara się zbić swych oponentów. Z początku chciano go wyzwać na pojedynek za jego krytykę burszów niemieckich, lecz cofnięto ten zamiar ze względu na przekonania autora. Nie pozostało więc nic innego, tylko... ogłosić go za tchórza, co też uczyniono w piśmie burszowskiem, p. t. *Der Student*.

Do zohydzenia pojedynków skutecznie przyczynia się i teatr. Walka przeciwko wypaczonym pojęciom honoru, na tym terenie rozpoczęła się już dawno. W r. 1890 wystawiono w Berlinie „Honor" Sudermanna i pomimo usterek w samej sztuce i nowicyuszowstwa autora, przyjęto dramat z niesłychanym aplauzem, a Sudermann „przez noc" niemal stał się sławnym człowiekiem. Ten entuzyazm dla tendencyi sztuki, która pod honorem rozumie poczucie spełnionego obowiązku, a nie odwagę stawania przed nabitym pistoletem świadczy, jak palącą jest w Niemczech ta kwestya. Niedawno znowu grano w Berlinie sztukę Hartlebena pt. „Ehrenwort". Z treści jej wynika, że słowa honoru jeżeli ono jest tylko martwymi więzami można nie dotrzymać. W sztuce przez nie dotrzymanie słowa honoru danego oszustowi unika młoda dziewczyna nieszczęścia, i nie wychodzi za mąż za defraudanta, człowieka bez czci i wiary. Ale samej kwestyi pojedynku dotyka najnowsza wystawiona obecnie sztuka Artura Schnitzlera pt. „Freiwild" (Zwierzyna, którą każdemu zabić wolno). Treść jest taka: W pewnej austryackiej miejscowości kąpielowej, zatrzymała się wędrowna trupa teatralna na kilka przedstawień. Jeden z oficerów, upatrzył sobie wśród całego roju płochych artystek, dziewczynę przypadkiem uczciwą, którą prosi na kolacyę, i trzymuje stanowczą odmowę. Rzecz się rozgłasza, a jakiś malarz uśmiecha się na promenadzie z niepowodzenia porucznika. Porucznik oburzony, pociąga malarza na miejscu do odpowiedzialności, i z wolna z utarczki na słowa robi się utarczka na pięści podczas której malarz uderza oficera w twarz. Porucznik chce pojedynku lecz malarz go nie przyjmuje, wobec czego porucznik uważa się uprawnionym do zabicia swego przeciwnika i rzeczywiście zabija go wystrzałem z pistoletu. Kto tu jest „Frei wild" czy te dziewczęta z trupy? Może być, że wobec nich każdy może bezkarnie grać rolę myśliwego. Ale autor nie potrzebował w takim razie pojedynku, nie przyjęcia go i zabójstwa. „Freiwild" to człowiek, który wbrew przepisom kodeksu honorowego nie przyjął pojedynku. Według pojęcia oficera był malarz, który nie chciał stanąć z nim do walki, człowiekiem wyjętym z pod ochrony praw, przysługujących wszystkim innym. To podług ustaw towarzyskich indywiduum zajmujące podobne stanowisko w społeczeństwie jak między zwierzętami wilk, lis lub dzik podług ustaw myśliwskich.

Obecnie cała kwestya wyjdzie przed forum parlamentu, a walka o usunięcie bezprawia z platonicznej słownej stanie się praktyczną. Społeczeństwo żąda ustawy w tym kierunku a żąda tak natarczywie, że oprzeć się temu żądaniu nie będzie mógł rząd tembardziej, że argumentacya przeciwników pojedynku odznacza się siłą nieprzepartą.

*) Rzecz się tak miała: Pewien mechanik, nazwiskiem Siepmann, wszedł do restauracyi „Tannhäuser" w Karlsruhe i przez nieuwagę potrącił o krzesło porucznika von Brüsewitz; ten zażądał ostro, by Siepmann go przeprosił, na co mechanik odparł, że nie uczynił tego, bo się do żadnej winy nie poczuwa. Porucznik, otrzymawszy taką odpowiedź, wpadł w pasyę i z dobytą szablą rzucił się na Siepmanna. Rozpoczęła się gonitwa po restauracyi i na dziedzińcu, gdzie Siepmann chciał się schronić w mieszkaniu restauratora. Porucznik po chwili opuścił lokal i inną drogą udał się także na dziedziniec, gdzie Siepmann rozmawiał z gospodarzem; z sali wyszedł porucznik wołając: „Obraziłeś mnie śmiertelnie; musisz mnie pan przeprosić; gdyż inaczej będę musiał opuścić służbę". Restaurator rzekł: „Pan Siepmann przeprasza pana", powtórzył to i Siepmann sam, ale Brüsewitz rzucił się z szablą na mechanika, który zaczął uciekać, w końcu jednak porucznik dopadł swoją ofiarę i przebił Siepmanna szablą; patrząc na ostrze, krwią zbroczone, rzekł obojętnie: „Uratowałem honor!" Siepmann, przeniesiony do jednego z pokojów restauracyjnych, pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, po kilku godzinach zakończył życie. Zbrodnia ta odbiła się głośnem echem nietylko w księstwie Badeńskiem, ale w całem państwie niemieckiem, a opinia publiczna domagała się energicznie surowego ukarania zabójcy. Brüsewitz skazany został na kilkoletnie więzienie i degradacyę. (Przyp. Red.)

List do Redakcyi.

Kraków 15 listopada.

(*Tylko parę słów jeszcze w sprawie ubezpieczenia budynków od ognia*).

Ostatniemi czasy jakoś dzięki Bogu żywiej zaczęto dyskutować i pisać o asekurowaniu budynków, a cenny artykuł *Przeglądu* z d. 15 b. m. nr. 264, cyframi wykazuje, jak ta sprawa jest doniosłą i jak potrzeba ratunku jest naglącą. Chodzi tylko o to, że autorowie dyskusyj, broszur i artykułów dziennikarskich, mówiąc o kwestyi asekuracyjnej, potrącają o wszystkie inne kwestye, z nią w związku będące, jak: o sposób budowy domów, o urządzenia ochronne, ratunkowe, o nowe na każdy wypadek ustawy, i t. p., a tem samą sprawę asekuracyi do tego stopnia komplikują, że czynią ją nieledwie wprost niewykonalną. Takie nagromadzenie kwestyj, do jednego przedmiotu służyć mających, jest wodą na młyn tych, którzy pragną sprawę asekuracyi znów na długie lata zabagnić. Dziś mówimy tylko o samej asekuracyi, w ścisłych granicach tego tylko przedmiotu, bo ona jest „na stole", a o reszcie będzie czas pomówić później.

Wiadomo, jak rozmaite są projekta co do sposobu wprowadzenia w życie ogólnej asekuracyi obowiązkowej. Projektować wolno każdemu, ale decyzya zapadnie od sfer właściwych, prawodawczych; tym więc sferom nie utrudniać, lecz ułatwiać sprawę należy.

W swoim czasie wypowiedziałem moje zdanie o tem *), jaki sposób organizacyi asekuracyjnej ja uważałbym za najwłaściwszy — a wypowiedziałem, o ile mogłem, wyczerpująco i zdaje mi się jasno. Daleki jestem od myśli, aby moja propozycya w czyn wprowadzoną być miała: znaleźć się może dziesięć innych sposobów równie dobrych choć odmiennych, a może i lepszych; ale to tylko powiedzieć teraz uważam za stosowne i potrzebne, że, czy ogólna obowiązkowa asekuracya będzie państwową, czy krajową, czy prywatną, czy jaką inną, spółkową, to w każdym wypadku, jeżeli do niej nie będzie wprowadzonym czynnik psychiczny samych asekurujących się, zostanie ona nieudałą, bo taką być musi. Trzeba koniecznie tak uorganizować, aby warunki korzyści z asekurowania się zależały od stopnia dbałości samych asekurujących się w przestrzeganiu ostrożności z ogniem; jeżeli ten warunek, który nazywam czynnikiem psychicznym, wprowadzonym nie zostanie, wtedy kwestya klęski krajowej, z pożarów wynikającej, będzie ta sama, jaka była dotąd, a może nawet będzie się powiększać w miarę wydoskonalania się w złym kierunku dowcipu ludzkiego. Na Boga więc, panowie prawodawcy! W ustawie, którą macie wydać, zainteresujcie samych asekurujących się! Nie czyńcie z asekuracyi loteryi, lub martwej rachuby na bonifikatę nieszczęścia; ale, zapewnieniem zapłaty za czujność, zmuście ogół do nieustannego współdziałania w sprawie zapobiegania pożarom, bo inaczej stworzycie bonifikacyę, ale nie stworzycie czynnika, wpływającego dodatnio na klęskę ogólno-krajową.

Tyle co do samej sprawy asekuracyjnej. Ale, ponieważ w broszurach i artykułach, w połączeniu ze sprawą asekuracyjną, umieszczoną została kwestya dachów na budowlach — i tam słoma, jako materyał do krycia, została wyklętą — a natomiast zalecaną jest dachówka, przeto muszę przypomnieć, że w latach 1888 do 1890 wychodzący we Lwowie *Rolnik*, zamieścił parę artykułów pana Jerzego Kraskowskiego, w których tenże szczegółowo wykazał, o ile i gdzie dachówka, a gdzie słoma odpowiedniejszą być może. Tamże podany został sposób uogniotrwalenia słomy, jako najodpowiedniejszego dla zabudowań gospodarskich wiejskich materyału do pokrywania dachów. Później jeden z inżynierów wymyślił sposób uogniotrwalenia słomy gliną (Kraskowski uogniotrwalał wapnem) i sposób swój bardzo praktyczny opatentował; — a z wielu stron, nawet z Podola rosyjskiego, nadchodziły podziękowania za zwrócenie uwagi na słomę i jej uogniotrwalenie, gdyż mało gdzie dachówka może być odpowiednią, a zawsze i wszędzie kosztowną, szczególnie w kraju i okolicach mających mało fabryk dachówkowych i mających mało drzewa na silne wiązania dachowe, jakich dachówka wymaga. *J. K.*

(* Nr. 226 i 227 *Przeglądu*.

Mały Fejleton.

Kazimierz Zaleski o „ludzie".

Tyle się teraz mówi i pisze o „ludzie", tyle się na cześć jego kadzideł spala, tak się go idealizuje, a wszystko to, aby go sobie pozyskać jako wyborców z V tej kuryi, — że niezawodnie będzie zajmowało naszych czytelników zdanie znakomitego komedyopisarza Kazimierza Zaleskiego, który ten „lud" gruntownie studyował. W „Łotrzycy", komedyi przedstawionej przed kilku dniami na scenie naszego teatru, wprowadza nas autor do dworku wiejskiego, w którym lato spędzają Bronisz powieściopisarz, Leon malarz i Grzemski artysta-muzyk.

W wspólnym salonie stoi przy sztaludze Leon i maluje. Wchodzi Bronisz i wszczyna się następująca rozmowa:

Leon.

A to ty? Skąd powracasz?

Bronisz.

Prosto z wesela, mój drogi Maciej Strzygoń się ożenił i zaprosił mnie na ślub. Odprowadzałem Kachnę od ołtarza, wypiłem dwa kieliszki wódki, zjadłem ser i pszenny placek, trzy razy okręciłem izbę z panną młodą aż dostałem zawrotu głowy, położyłem rubla na tacy na oczepiny, i oto jestem. Przyznasz, że trudno w tak krótkim czasie więcej poważnych spraw załatwić.

Leon.

Znalazłeś jaką scenę, temat nowy?

Bronisz.

Nie—zdobyczom na wsi daję za wygranę. Na badacza ludu trzeba się urodzić, ja nie mam do tego powołania. Słyszę, że mazurzą, widzę kapoty i sukmany, które ich odróżniają od ludności miejskiej, ale zresztą uczucie i pojęcia te same. Ludzkie zwierzę tylko w pierwotniejszym stanie — oto wszystko! Chciwe, zazdrosne, kłótliwe, patrzące przedewszystkiem na swój interes. Kobiety plotkarki, wodzą mężów za uszy, dziewczęta szukają najbogatszych synów gospodarskich a silny i urodziwy parobczak chce się ożenić z gruntem i krową w posagu. *Tout comme chez nous* mój drogi. Wolę pisać powieści salonowe, przynajmniej nie będę świata okłamywał. Lud nadaje się tylko dla malarza, albo dla grubego realisty.

Leon.

A ty nie jesteś realistą?

Bronisz.

W traktowaniu przedmiotu tak, ale nie w wyborze. Po co mam odtwarzać rzeczy brzydkie i wstrętne? Czyż ich mało w życiu codziennem? Artystę zawsze pociągać powinno tylko światło i piękno.

Leon.

No, a wielkie rozpacze, wielkie boleści?

Bronisz.

Tragedya i dramat — zgoda. Ale w tem musi być wielka groza, wielki ból. Krajobraz Dantejski, Sąd ostateczny Michała Anioła. No, ale te małe drożyny z szarem światłem, drobne kałuże, mierzwa bydlęca przy kamieniach.

Leon.

Ale mój kochany, w tem jest prawda.

Bronisz

Według mnie, taki realizm jest po prostu niechlujnością.

Leon.

Wiesz, że Zygmunt Marzeński przyjechał?

Bronisz.

A ten z Monachium, marrota panny Józieczki.

Leon.

Aha, marrota, dobrze mówisz. Właśnie się ciebie poradzić chciałem, co ja mam robić z tym fantem?

Bronisz.

Jakto, co ty masz robić?

Leon.

Naturalnie, przecież jestem bratem i opiekunem Józi.

Bronisz.

I bierzesz twoję rolę na seryo. Daj pokój mój kochany, poradzą oni sobie sami bez ciebie. Jeżeli się kochają, to im tego nie przeszkodzisz. Co najwyżej ja będę miał temat do powieści, albo Grzemski podłoży pożegnanie pod muzykę.

SCENA 5. (*wchodzi Grzemski*).

Grzemski.

Co mam podłożyć pod muzykę. Napisałeś wiersz jakiś, a może masz pomysł do libretta?

Bronisz.

Nie, ale ty przecie i bez słów umiałbyś napisać jakieś andante romantyczne, n. p. pod tytułem: ostatnie pożegnanie kochanków, rozdział na wieki.

Grzemski.

E! nie! dziękuję! Dosyć mam już tych smutnych tematów. Wyobraźcie sobie przed trzema tygodniami byłem pierwszy raz tutaj na cmentarzu. Prosty, biedny cmentarzyk wiejski, szare mogiłki, trochę blach i krzyżów, pomnika ani jednego. Przy mnie zajeżdża pogrzeb. Na wozie skrzynka sosnowa, zaledwie ociosana z grubsza, a w niej młoda kobieta, pewno piękna, mężatka. Mąż z dwojgiem dzieci ledwo się słaniał na nogach, biedak rzucił się przed dołem świeżo wykopanym i tak zawodził żałośnie! Otóż to jest lud, prawdziwe uczucie, ból szczery, niepohamowany miejskiemi pozorami. Poszli z pogrzebu do karczmy na stypę, nie miałem odwagi iść tam za nim, ale z daleka słyszałem takie wściekłe, straszne wykrzyki tego biedaka, hu! ha! To było przerażające! Echo dochodziło do mnie i rozbrzmiewało po lesie hu! ha! Dowiedziałem się o nazwisku tego desperata. Gospodarz z tej wioski, nasz bliski sąsiad, Maciej Strzygoń.

Bronisz.

A wiesz! dobrze, żeś to powiedział, dorób że teraz *scherzo* do swojego hymnu rozpaczy. Ty byłeś na pogrzebie pierwszej żony Strzygonia trzy tygodnie temu, a ja przed chwilą wróciłem z jego wesela.

Grzemski.

Co? nie może być!

Bronisz.

Zapewniam cię o tem, nawet przypominam sobie teraz, panna młoda mówiła mi, że się jej Strzygoń oświadczył trzy tygodnie temu, w karczmie, przypijał do niej, bo to taka forma oświadczyn u nich. Widać, że to się działo na stypie po pierwszej żonie. Kachna wypiła kieliszek przez niego podany, co znaczyło, że przyjmuje konkurenta. Jakże to poczciwe i proste te formy ludowe. Grzemsiu, kochanie, pisz symfonię, ja daję za wygraną powieści.

Grzemski.

A jednak, tu tylko jest szczerość, tu tylko jest prawda.

Bronisz.

Prawda! ha! ha! ha! Dajcie pokój moi drodzy, ani ty z twoją muzyką, ani Leon z malarstwem, ani ja z literaturą, nie wiemy gdzie ona mieszka. Prawda jest podobno w sercu ludzkiem, ale dyabła zje, kto ją stamtąd wydobędzie. Popłaczże Grzemsiu ze Strzygoniem na pogrzebie jego pierwszej żony i ciesz się, że już jest po ślubie z drugą.

Z izby sądowej.

Kraków 19 listopada.

(*Oszczerstwo*).

Przed tutejszym trybunałem przysięgłych toczyła się wczoraj sprawa karna przeciw Mikołajowi Slepickiemu, czeladnikowi stolarskiemu i byłemu redaktorowi odpowiedzialnemu tygodnika socyalno-demokratycznego *Naprzód*, obwinionemu przez prywatnego oskarżyciela ks. Zygmunta Migdała, proboszcza w Brzeziu, o to, że w tegorocznym numerze 22 tygodnika *Naprzód* umieścił Slepicki artykuł, w którym zarzucono ks. proboszczowi Migdałowi, że parafian swoich poniewiera i bije, że spełnia opieszale i zaniedbuje obowiązki kapłańskie.

Tak z zeznań świadków, jak z zeznań ks. proboszcza wynikało, że podniesione przeciwko niemu w tygodniku *Naprzód* zarzuty są nieprawdziwe; oskarżony zaś zaprzeczył, jakoby był autorem inkryminowanego artykułu, lub takowy do druku podał, twierdząc, iż podczas drukowania owego artykułu nie był w Krakowie i takowego przed podaniem do druku nie czytał.

Po przeprowadzonej rozprawie pp. przysięgli uznali jednomyślnie, że wszystkie fakta, przytoczone w rzeczonym artykule, są fałszywe, że jednakowoż nie zostało stwierdzonem w czasie rozprawy, że oskarżony ten artykuł zredagował i do druku podał, że więc dopuścił się tylko przekroczenia obowiązków redaktora odpowiedzialnego.

Na podstawie werdyktu trybunał skazał Mikołaja Ślepickiego na 105 zł. grzywny lub na 21 dni aresztu, oraz na poniesienie kosztów postępowania karnego i wymiaru kary. Ks. proboszcz Migdał, zrzekł się odszkodowania, doznawszy zupełnego zadośćuczynienia ze strony ławy przysięgłych.

Odsłonięcie pomnika J. K. Ordona.

Rodacy! Uroczystość listopadowa zeszła się w roku bieżącym z uroczystością odsłonięcia na cmentarzu Łyczakowskim pomnika Juljana Konstantego Ordona, jednego z najznakomitszych uczestników walki roku 1831.

Nazwisko tego, pełnego poświęcenia oficera wojsk polskich, uwiecznił Adam Mickiewicz w swojej „Reducie Ordona" i we czci przekazał je dalekim pokoleniom.

Popioły walecznego spoczęły w naszem mieście, a dziś stawiając mu pomnik, stawiamy go też bohaterskiemu duchowi narodu.

Wzywamy przeto wszystkich, którym drogą pamięć bojowników naszych i bronionych przez nich ideałów, do uczczenia tej chwili i wzięcia udziału w odsłonięciu pomnika.

Dzień 29 listopada, niech około kolumny Ordona zgromadzi wszystkie wierne Ojczyzny naszej dzieci.

Lwów, dnia 19 listopada 1896.

Apolinary Stokowski. Ludwik Zielonka. Ksawery Gebhard.

* * *

Program uroczystości. *Niedziela 29 listopada o g. 3 po południu*:

1) Na cmentarzu Łyczakowskim przy grobowcu Baczewskich, gdzie spoczywają prochy Ordona, zbierają się: Komitet pomnikowy, członkowie Rady miejskiej, Stowarzyszenia i korporacye, cechy z sztandarami, „Sokoł", młodzież akademicka i rękodzielnicza, Ochotnicza straż ogniowa itd.

2) Następuje przeniesienie urny do stóp pomnika.

3) Odmawia modliwy pastor Grafl.

4) Imieniem Komitetu pomnikowego, p. Stokowski oddaje prochy Ordona w opiekę reprezentacyi miejskiej.

5) P. Ostaszewski z Florencyi imieniem rodziny i przyjaciół Ordona dziękuje reprezentacyi miasta i obywatelstwu Lwowa.

6) Przemówienie weterana z roku 1831, uczestnika powstania z r. 1863, reprezentanta młodzieży i włościanina. Śpiew „Lutni" i „Echa".

KRONIKA.

Lwów 19 listopada.

Pan namiestnik wyjechał w niedzielę na kilka dni do Gumnisk.

Deputacya u księdza arcybiskupa. Właściciele realności z parafii św. Maryi Magdaleny wysłali tymi dniami do księdza arcybiskupa Morawskiego deputacyę, złożoną z pp. Bromilskiego, Gubrynowicza, Łukawskiego i radzcy Jedlińskiego z prośbą, by raczył nadać prezentę na probostwo św. Maryi Magdaleny księdzu Erazmowi Allusoci, który w parafii tej pracuje gorliwie od 23 lat jako wikary i katecheta. Do prośby tej dołączyli deputaci wyrazy najgorętszego uznania dla zacnego tego kapłana.

Biskupem przemyskim grecko-kat. mianowany został ks. Konstanty Czechowicz, kanonik tamtejszej kapituły.

Wiec katolicki powiatowy odbędzie się 20 bm. w Jaśle, w gmachu gimnazyalnym.

Mianowania. Kapitan Jordan Rozwadowski mianowany wojskowym *attaché* przy ambasadzie austryacko-węgierskiej w Rumunii.

Z poczty. Z dniem 18 b. m. otwartą zostanie w Mszanie dolnej (powiat limanowski) przy istniejącym tamże c. k. urzędzie pocztowym stacya telegrafu z ograniczoną służbą dzienną.

W sprawie zawalenia się sklepienia Pełtwi przesłuchiwała wczoraj komisya miejska, złożona z prezydyum Rady miejskiej i kilku budowniczych, będących równocześnie radnymi miasta, tego inżyniera miejskiego, który był postawiony do nadzorowania robót, mianowicie p. Branека, tudzież obu przedsiębiorców, którzy zasklepienie to prowadzili, mianowicie pp. Grzybińskiego i Łuszczkiewicza. Owóż panowie ci utrzymywali, że wszystko zrobiono zupełnie dobrze i odpowiednio, że używali cementu dobrego i dawali jego ilość do betonu przepisaną. Katastrofa zaś zdaniem ich była następstwem tego, iż z jednego boku zasklepionej Pełtwi zaczęto kopać fundamenta pod gmach przyszłego teatru. Wskutek tego nastąpił nierównomierny rozkład nacisku na tę olbrzymią rurę betonową, w której Pełtew płynie. Z jednej strony i z góry cisnęła na tę rurę ziemia, z drugiej zaś strony nie było żadnego nacisku. Jakkolwiek tłómaczenie to razi z tego głównie powodu, że przecież rura Pełtwi nie pękła z boku, ale na górze, to jednak komisya uchwaliła zaprosić profesorów Skibińskiego i Thulliego na ekspertów w tej sprawie, a odłamy zawalonego sklepienia oddać chemicznej analizie pp. Pawłowskiego i Wąsowicza celem zbadania, jaki do tej roboty używany był cement i jak wogóle wykonaną została ta robota.

Wycieczka Sodalisów lwowskich do Krakowa. Dzień św. Stanisława Kostki uroczysty dla wszystkich kongregacyi maryańskich młodzieży był w roku tym obchodzony ze szczególniejszą świetnością w krakowskiej kongregacyi akademickiej. Ze Lwowa pospieszyło na zaproszenie ośmiu Sodalisów, którzy już w sobotę wieczorem przybyli do Krakowa, oczekiwani tu przez grono krakowskich braci z zastępcą prefekta hr. Scipionem na czele.

W niedzielę o godzinie 7-mej rano kościół św. Barbary wspaniały przedstawiał widok. Całą nawę kościoła wypełniła młodzież przeważnie szkolna która także na chórze piękną orkiestralną muzyką i śpiewem dodawała uroku uroczystości. W presbyteryum u stóp ołtarza, przy którym mszę św. odprawił O. Bratkowski T. J., kierownik tamtejszych kongregacyi, ustawiła się Sodalicya krakowska wraz z gośćmi ze Lwowa. Do Stołu Pańskiego przystąpiło około 50 Sodalisów prócz mnóstwa innej młodzieży, a po nabożeństwie odbyło się uroczyste przyjęcie 5 nowych członków do kongregacyi.

Po kilkugodzinnem gremialnem zwiedzaniu miasta przez przybyszów lwowskich zgromadzono się około godziny 1-szej w restauracyi teatralnej przy obiedzie, wydanym staraniem krakowskiej Sodalicyi, na którym oprócz ks. Moderatora Bratkowskiego i gości ze Lwowa był także obecnym prezes Związku kongregacyi maryańskich p. Leszek Wiśniowski. Po pierwszym toaście wniesionym przez sod. p. Stanisława hr. Badeniego na cześć księcia biskupa krakowskiego nastąpił cały szereg innych, z pomiędzy których podnieść musimy toast p. Leszka Wiśniowskiego na cześć ukochanego przewodnika młodzieży O. Bratkowskiego i toast O. Moderatora na pomyślność i rozwój kongregacyi poznańskiej wniesiony na ręce sod. p. Chłapowskiego.

Po obiedzie udano się in gremio do Czytelni katolickiej na walne zgromadzenie, które obok nabożeństwa samego, było osią całej uroczystości. O. Moderator zagaił je przepiękną mową, w której zamknął dzieje 6-letniego żywota krakowskiej kongregacyi akademików. Nie możemy jej na tem miejscu podawać, lecz odsyłamy ciekawych do grudniowego numeru *Sodalisa*, w którym takowa w całej osnowie będzie zamieszczoną. Tu tylko zaznaczamy, że mowa ta — pod względem formy prześliczna — głęboko wzruszyła obecnych. W niej bowiem odświeżył mówca wspomnienie chwil, w których słabe zaledwie zaczątki dzisiejszej sodalicyi akad. krak. do trudnego powstawały życia — jak później z pomocą Bożą, wśród wysiłków młodych Sodalisów a dodajmy — ich niezmordowanego kierownika — wzrastała garstka, która dziś już liczy przeszło 60 członków z pośród akademickiej młodzieży wszystkich fakultetów. Po pięknem przemówieniu do młodzieży p. Wiśniowskiego, nastąpiły wybory prefekta — którym został hr. St. Badeni — 2 asystentów i 6 wydziałowych, po czem nowo wybrany prefekt energicznem a gorącem wezwaniem do pracy i pielęgnowania wzniosłej idei Sodalisów, zamknął posiedzenie.

Tego samego dnia odbył się jeszcze w lokalu Czytelni katolickiej wieczór towarzyski, który przy wesołej i swobodnej pogawędce, urozmaiconej prawdziwie artystyczną grą na fortepianie p. Szawłowskiego — śpiewem pp hr. Platera i Grodzickiego — i deklamacyą p. Antoniewicza — do późnej przeciągnął się godziny.

Podniosła ta uroczystość szczególniej głębokie wywarła wrażenie na Sodalisach ze Lwowa, podejmowanych w Krakowie z iście braterską gościnnością — to też z wdzięcznością za tyle doznanych wzruszeń i za tyle starań swych braci, żegnali ich, wyjeżdżając z Krakowa — ażeby na przeciwnym krańcu prowadzić dalej dzieło poczęte przed laty nie wielu a dziś już pomimo ciężkich warunków — takie wydające owoce.

Pani Marcelina Sembrich-Kochańska dała przed dwoma dniami w Wiedniu w wielkiej sali Towarzystwa muzycznego koncert, którego program prawie sama całkiem wypełniła. Tryumf, który nasza rodaczka osiągnęła, był zupełny. Entuzyazmowi, który ogarnął muzykalny świat wiedeński z powodu tego występu, dał wyraz znakomity krytyk wiedeński Hanslick w następujących słowach: „Upłynęło już dziewięć lat od czasu, gdy pierwszy raz podziwialiśmy panią Sembrich w „Łucyi z Lammermooru" i „Traviacie". Od tego czasu święciła śpiewaczka tryumfy w Londynie, Petersburgu i Berlinie, a teraz odwiedziła nas znowu. Przekonaliśmy się, że głos artystki nie stracił nic na sile i piękności, a zyskał tylko na wyrobieniu. Rzadko można słyszeć taki miękki, szczery sopran, taką czystą jak dźwięk dzwonu intonacyę, a zarazem takie mistrzowstwo środków technicznych. Odśpiewanie pieśni Mozarta „Fiołek" było tak klasycznem, że można żałować, iż nie schwytano go w fonograf, aby na wieczne czasy służyło jako wzór dla kształcących się artystek".

Od Rady nadzorczej Towarzystwa kredytowego ziemskiego otrzymujemy następujące pismo:

„Podaną w nr. 267 *Przeglądu* z dnia 19 bm. wiadomość o defraudacyi w Towarzystwie kredytowem, tudzież o braku kontroli w tej instytucyi, jako prezes Rady nadzorczej obowiązany jestem sprostować.

Mianowicie konstatuję:

1. że żadnej defraudacyi na szkodę Towarzystwa kredytowego nie popełniono, a wykryte przez kontrolujące organa nieprawidłowości, które dały powód do pogłosek o defraudacyach, zostały już usunięte;

2. że kontrola wykonywana jest ściśle, dokładnie i szczegółowo, stosownie do przepisów statutu i regulaminu, tak przez Dyrekcyę, jak przez Radę nadzorczą, a właśnie skutkiem tej kontroli jest wykrycie i usunięcie wspomnianych nieprawidłowości, przy czem jednak nie można uniewinniać osób, których działalność okazała się nieprawidłową.

Dyrekcya Towarzystwa kredytowego postąpiła przeto całkiem słusznie usuwając od dalszego urzędowania tych funkcyonaryuszów, którzy zaniedbali stosować się ściśle do obowiązujących przepisów.

Te zarządzenia Dyrekcyi, wprawdzie surowe, lecz w interesie instytucyi niezbędne, Rada nadzorcza zupełnie aprobowała.

We Lwowie dnia 19 listopada 1896.

August hr. Łoś
prezes Rady nadzor. Tow. kred.

Zjazd seminaryalny gron nauczycielskich. Z powodu ćwierćwiekowego jubileuszu Seminaryów nauczycielskich, którego program już podaliśmy, odbędzie się w dniach 20 i 21 bm. także zjazd gron nauczycielskich tych Seminaryów. Obrady zjazdu odbywać się będą w trzech sekcyach: 1) w sekcyi organizacyi Seminaryów, 2) w sekcyi dla planów i spraw pedagogicznych i dydaktycznych i 3) wreszcie w sekcyi dla stosunków służbowych gron. Ku uczczeniu jubileuszu Seminaryów i zjazdu gron urządza Dyrekcya teatru dnia 21 w sobotę o godzinie 8-ej uroczyste przedstawienie. Program w repertuarzu teatralnym.

Schodnica połączona będzie wkrótce telefonicznie ze Lwowem. Ponieważ rząd kończy już budowę telefonu z Drohobycza do Schodnicy, przeto wszystkie wielkie firmy schodnickie, wniosły prośbę o połączenie Drohobycza ze Lwowem, ofiarując się ponieść znaczną część kosztów budowy. Życzenie to tem snadniej powinno być uwzględnione, że obecnie Lwów zaczyna powoli być centrem nafciarskiem w Galicyi. Obok centralnego biura dla sprzedaży ropy, mieści się tu zarząd przedsiębiorstw Szczepanowskiego, Wolskiego i Odrzywolskiego. Towarzystwo handlowe gorlickie, zarząd kopalń Pieniążka, Rodakowskiego i spółki i wiele innych biur. Wszystkie znalazły swe pomieszczenie przy ul. Sykstuskiej l. 35 na tak długo, dopóki nie stanie własny „dom naftowy" o czem już jest mowa.

Przeciw pojedynkom. Bawarski minister wojny zarządził zasadniczą zmianę przepisów o sądach honorowych w armii. Na mocy tego rozporządzenia, oficer zasadniczo przeciwny pojedynkom, nie może być za to samo usuniętym z armii.

Hakatyści poznańscy i zachodniopruscy starają się wpłynąć na rząd, by ustanowił wyjątkowe prawa dla polskich stowarzyszeń i dla polskiej prasy. Co do prasy, to proponują prawnie unormować kwalifikacyę redaktorów odpowiedzialnych, którzy zazwyczaj nie mają żadnego wpływu na właściwych kierowników pism.

Obserwacie rosyjscy, którzy z balonem spadli tymi dniami w Brzozowie, dowiedziawszy się, że nie mieli żadnych złych zamiarów, a tylko prosty przypadek sprowadził ich na terytoryum austryackie, odjechali w poniedziałek na Przemyśl do Szczakowy, w towarzystwie jednego oficera komendy przemyskiego korpusu. Niespodziani ci goście, którzy nagłem wśród nas zjawieniem się, mogli obudzić pewne podejrzenia, nie zapomną chyba, że Polacy nawet wśród takich okoliczności, są zawsze grzeczni i uprzejmi.

Oryginalny wyrok. W Memfis stawał niedawno przed sądem fałszerz i oszust, niejaki Word, który w ciągu kilku lat wyrządził rozmaitym instytucyom i osobom prywatnym szkodę na 800 000 dolarów. Wyliczono mu 97 rozmaitych przestępstw, a ponieważ sąd wymierzył oddzielnie za każde przewinienie, skazano go razem na 1 425 lat więzienia.

Rada szkolna krajowa zamianowała nauczycielami w szkołach ludowych: Teodora Szypułę i Jana Kryżanowskiego w Tarnowie, Anielę Perównę w Bugaju, Józefa Czuczkiewicza w Romanowie, ks. Pawła Tynkiewicza nauczycielem religii w Jarosławiu, Karolinę Mężykównę i Ernestynę Gaberlównę w Jarosławiu; Julię Grabowską i Józefę Gaberlównę w Jarosławiu, Jana Wortza w Tarnowie, Michała Niemirowskiego w Przemyślu, Maksymiliana Jacka w Przemyślu, Józefa Jaworskiego w Brodach, ks. Franciszka Widlarza w Ropczycach, Helenę Dubową w Zaleszczykach, Aleksandra Ferensa w Piotrkowicach, Jana Horakowskiego w Pustomytach Wandę Petrolewiczównę w Oreleu, Bronisława Kulińskiego w Panasówce, Konstantego Niementowskiego w Nowem Siole.

Ks. Stojałowski i Dniewnik Warszawksi. Warszawski korespondent *Kuryera Poznańskiego* donosi, że ks. Stojałowski zaproponował polakożerczemu *Warszawskiemu Dniewnikowi* swe współpracownictwo. W liście pisanym w tym względzie do redaktora *Dniewnika* zaznacza, że w zupełności solidaryzuje się z tendencyami tego pisma, że nienawidzi Niemców i wspólnie z *Dniewnikiem* pragnie zwalczać germanizm.

Katastrofę kolejową pod stacyą Sokółka opisuje naoczny świadek w następujący sposób:

„Mieściłem się w jednym z ostatnich wagonów 2-giej klasy. Pociąg był długi z dwiema lokomotywami, w wagonie było sporo pasażerów. Naprzeciw mnie siedział urzędnik w ubraniu mundurowym. Rozmawialiśmy spokojnie, nie przypuszczając nawet, że dla niektórych z nas zbliżają się ostatnie chwile. Do wagonu wszedł kontrolor w towarzystwie konduktora. Oddałem mu swój bilet i sięgałem znów do kieszeni, umieszczając tam zwrócone mi świadectwo legalnej podróży, gdy nagle rozległ się straszny trzask. Zaledwiem zdążył objąć wzrokiem na swoim towarzyszu niezrozumiały znak, gdy wszystko się kręcić naokoło. Widziałem tylko spostrzegłem, że na mnie wali się jakaś ciemna masa. Wszyscy krzycząc niesamowicie [illegible] że niebezpieczeństwo minęło i że ściany wagonu sąsiedniego, utrzymały się na miejscu.

Zaledwie znalazłem możność powstania, gdy rzuciliśmy się do okien. Wypadło się formalnie drapać, gdyż wagon był silnie pochylony. Pierwszy wyskoczył nieznajomy, za nim podniosłem się i ja z kolei. Pierwszą osobą, którą spotkałem, był oficer, usiłujący kułakiem wybić okno. Wołam do niego:

„Co pan robisz? Porani się pan sobie ręce!...

„Ale oficer, nie uważając na nic, nie zwracając na mnie uwagi, uderzył całym korpusem w okno. Nie wiem jakim sposobem znalazłem się w posiadaniu topora. Zapewne który z pasażerów podał mi go. Zacząłem wtedy rąbać ścianę wagonu wraz z ramą okna. To dało mi możność wydobycia się na świat ze stosu szczątków wagonu, gdzie nas za życia pogrzebano. Wkrótce na światło dzienne wydobyli się i pozostali moi towarzysze. Obraz spustoszenia, który przedstawił się naszym oczom, był zaiste straszny. Cały pociąg towarowy zdawał się być prawie w całości zdruzgotanym.

„Wagony przemieniły się w drzazgi i wraz z towarem na długiej przestrzeni zasiały i zakryły prawie zupełnie tor kolejowy. Z naszego pociągu uległy rozbiciu cztery pierwsze wagony. Od zupełnego zdruzgotania uchroniła pociąg zapewne ta okoliczność, że towarzyszyły mu dwie lokomotywy, a pociąg towarowy miał jedną. Pociąg pocztowy uderzył w towarowy z większą siłą, aniżeli ten ostatni.

„Przyszedłszy do siebie ocaleni pasażerowie, zaczęli wydobywać ze szczątków rannych i zabitych. Ogółem znaleziono 7 trupów i 14 rannych. Wśród zabitych znajdował się mężczyzna w podeszłym wieku, ubrany zamożnie. Za szyję jego trzymała się mała dziewczynka 12—13 lat, także zabita. Z początku sądzono, że to ojciec i córka, okazało się potem, że dziewczynka jest córką innego pasażera, który ocalał, straciwszy także żonę"

Uprowadzenie księżniczki. Wielkie wrażenie wywarła we Włoszech ucieczka Donny Elwiry Bourbon, córki infanta Don Carlosa, w towarzystwie malarza Folchiego. Dwudziestopięcioletnia księżniczka poznała się przed niejakim czasem z rzeczonym malarzem i zakochała się w nim. Folchi jest człowiekiem żonatym, ojcem dwojga dzieci. Rodzina dokładała wszelkich starań, aby wyleczyć księżniczkę z tej chorobliwej miłości — napróżno! Na nic się nie zdały przedstawienia, na nic pilnowanie księżniczki dniem i nocą. Zmyliła czujność straży i uciekła. Gdzie, dokąd — niewiadomo. Podobno wyjechała z Rzymu do Genui, a stamtąd do Paryża. Zabrała z sobą kufer z kosztownościami, wartości około 300.000 franków, między niemi może i starą hiszpańską koronę, jak złośliwie dodaje paryski *Figaro*.

Spowiedź w beletrystyce. W pismach polskich powstała obecnie kwestya czy spowiedź można wprowadzać do powieści i nowel, czy też sprzeciwia się to uczuciom religijnym katolików. Otóż w kwestyi tej zabrał głos jeden z najznakomitszych naszych literatów i teologów ks. Niedziałkowski. Z listu jego wyjmujemy następujące ustępy:

„Powieści, poematy i inne formy literatury pięknej — pisze autor listu — są odbiciem życia danego społeczeństwa; dlaczegożby więc nie wolno było odwzorowywać tego, co w takiem życiu jest najszlachetniejszego i najlepszego, t. j. tych chwil i wypadków, w których się człowiek styka „z osobami, prawdami, przedmiotami naszej świętej religii?" Zabronić artystom wkraczać w tę sferę, byłoby to podciąć im skrzydła i zmusić niejako do pełzania po ziemi, a przecież zadaniem naszej wiary podnosić człowieka zawsze i wszędzie".

„Malarstwo n. p nie ma środków do oddania słońca, ale jego odbicia odtwarza wcale dobrze, równie jak księżyc i gwiazdy; wzrok nasz nie może patrzeć na słońce, ale z lubością patrzy na jego promienie, igrające na różnych przedmiotach, odbite na księżycu — na gwiazdy migocące w głębokiej nieba bezdni. Dla tej racyi powieściopisarz czy inny artysta najlepiej zrobi, jeżeli się nie będzie silił na przedstawienie słońca — Boga (dodałbym także — i N. Panny) bo nie podoła nigdy zadaniu, ale o innych świętych niech mówi jak najczęściej; — tak miło widzieć wszędzie to, co się kocha, tak słodko o tem zawsze słuchać; byle mieli odpowiednie zdolności, znali swoją rzecz i pamiętali o kardynalnej zasadzie: *sancta sancte tractanda* — rzeczy święte w święty sposób traktować należy. Sienkiewicz porwał się w „Pójdźmy za nim" na przedstawienie Zbawiciela — i zrobił *fiasco*; w tym razie naprawdę najlepiej poprzestać na książce ascetycznej, — ale co można zarzucić opisowi nabożeństwa w kaplicy N. Panny Częstochowskiej w „Potopie", łamaniu się kniazia Jaremy wobec Ukrzyżowanego Chrystusa w „Ogniem i mieczem", postaciom św. Piotra i Pawła w „Quo vadis?" Wszystko to są rzeczy prześliczne".

Zmarli. We Lwowie Józef Slaviczek, oficyał pocztowy. W Krakowie Edward br. Hagen.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 0 R., w poł. + 5 R Bar. 764. Spada. Prześliczna pogoda.

Chybiony efekt.

Lekarz, zbadawszy chorą:

— Niech pani będzie spokojna. To przejdzie. Sam niedawno cierpiałem na tę chorobę, a pomogło mi lekarstwo, które pani zaraz zapiszę.

— O, panie doktorze, jeżeli tak pomogło, niechże mi pan da adres swego lekarza...

Zagraniczne zęby.

— A to dopiero ta jejmość musi mieć zdrowe ząbki! — rzekł ktoś w cyrku do Gapskiego, widząc, jak jakąś *artystkę*, która chwyciła zębami koniec liny, wciągano aż pod sam strop cyrku.

— Ba — odrzekł Gapski — z pewnością zagraniczne, bo nasi dentyści takich zębów jeszcze nie robią.

Wielka prawda.

Zapomniano prawdy tej
W zbiorze przysłów stu tysięcy:
„Że pieniędzy czem jest mniej,
Tem *bankierów* coraz więcej!"

Repertuar teatralny. Dziś we czwartek po raz trzeci „Czarodziej z nad Nilu", opera komiczna w 3 aktach Wiktora Herberta. Jutro w piątek po raz trzeci „Łotrzyca", komedya w 5 aktach Kazimierza Zalewskiego. W sobotę po południu o 3 ciej dla młodzieży szkolnej „Wilhelm Tell", dramat w 5 aktach Fryderyka Schillera. Wieczorem o pół do 8-mej ku uczczeniu ćwierćwiekowego jubileuszu seminaryów nauczycielskich i połączonego z tymże zjazdu gron nauczycielskich i zjazdu byłych uczenic z okresu 25-lecia: 1) Prolog, słowa Stanisława Rossowskiego, 2) „Przez oświatę i pracę do wolności", obraz z żywych osób układu prof. Tadeusza Rybkowskiego, 3) na żądanie komitetu „Sprzedana narzeczona" (Prodana nevesta), opera komiczna w 3 aktach Fryderyka Smetany.

Literatura i sztuka.

* **Koncert.** W niedzielę dnia 22-go b. m. odbędzie się w sali „Sokoła" koncert muzyki wojskowej 30 pp. Bliższe szczegóły doniosą afisze.

* **Konrad Machczyński.** „Mozaika wilcza", ułożona z młodzieńczych wspomnień myśliwskich. Z rysunkami J. Ryszkiewicza i portretem autora. Warszawa, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Sp. 1896.

„Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę, ze strzelbą na ramieniu, świszcząc, szedł przez pole?" Wrosłej w krew zabawie rycerskiej hołdował sam wódz romantyków, chociaż więcej od zwierzyny upolował damań, gdy w dzikim ostępie, zapomniawszy o łowach, zasiadał na kępie. Literatura też myśliwska nielada rodowodem pochlubić się może. W r. 1584 Mateusz Cygański, szlachcic z Mazowsza, wydaje „Myśliwstwo ptasze", w r. 1595 Tomasz Bielawski ogłasza rymowanego „Myśliwca", w r. 1618 Jan Ostroróg drukuje „Myśliwstwo z ogary" i t. d, aż przychodzi się do poematu Franciszka Zatorskiego „Polowanie" i do monografii łowieckich Kazimierza Wodzickiego.

Przed kilku laty, na leżącej już zdawna odłogiem niwie literatury myśliwskiej zjawił się zakapturzony pseudonimem pisarz, który odrazu, na mnogich kartach „Jeźdźca i myśliwego" pokazał, że do grubej zwierzyny zwykł strzelać i że piórem tak wartko macha, jak kordelasem. Z czasem się wykryło, że zagorzałym lubownikiem i znawcą łowów i posiadaczem skarbnicy tajemnic myśliwskich jest p. Konrad Machczyński, b. prokurator b. senatu w Warszawie i b. prezes zarządu osad rolnych. Kronice łowieckiej przybył tem samem nowy przykład, jak dubeltówka pasuje dobrze do każdego stroju, nawet do surowej togi sędziowskiej.

Teraz, kiedy większość pacholąt nie fuzyjką i ogarem, lecz handlem marek pocztowych lub flirtem na balikach dziecinnych się bawi, kiedy dorosłych przejmuje drżenie na widok lwów tresowanych w cyrku, — p. Machczyński przypomina, jak to jeszcze przed kilkudziesięciu laty zaprawiano się do polowania od młodu i jak umiano polować. „Daj pokój bajkom, Francuzom, wilkołakom i moralizatorskim zachciankom — powiedział sobie. — Po co u licha szukać mitologicznych bestyi i gonić za niemi aż po starożytnym świecie, kiedy możesz je znaleść u siebie w niejednej większej kniei, albo i spotkać się z niemi oko w oko po zaśnieżonych drogach pod postacią lupara lub wadery, a nawet z całą ich godową kompanią? Pisz o wilkach!" Jakoż bohaterem opowieści stał się drapieżnik krwiożerczy, szerzący dotąd po wsiach i polach dotkliwsze spustoszenia aniżeli lwy na posadzce salonów.

Kamyczki wspomnień, które się na „Mozaikę" złożyły, tworzą pewną całość, w ramy pamiętnika ujętą. Z ust p. Stanisława poznajemy swojszczyzną tchnący dwór w Zaleszczycach, jego zacnych mieszkańców i zwierzyniec domowy, bawimy się opisem grobli Wilczy Ogon, na której „złe" przesładowało pijaków i gdzie Bartek Śruba dla miłości pięknej Kaśki rozprawił się z dyabłem, słuchamy z zajęciem, jak Francuzi obozowali w roku 1812, jak bracia Dobursey rozpędzali „piskorzów" łęczyckich na jarmarku i t. d. i t. d. Od wrażeń dziecinnych chłopaka o żyłce myśliwskiej docieramy do samychże wilków. Za przewodnika służy ex-leśnik Zdrojek, chodząca encyklopedya wilcza. Dowiadujemy się od niego, jak wadera pilnuje gniazda, jakich wybiegów wilk używa jak prowadzi za kark kozę do lasu, jak poluje z naganką, jak się kręci w samołówce-labiryncie lub tańczy w dole z wystraszonym Niemcem. Przyjacielem od serca Zdrojka jest kucharz Haman, niewyczerpany w sekretach i fortelach łowieckich, przyrządzający dla wilków śmiertelne przysmaki, dzięki czemu ma u włościan złą sławę wspólnika czartowskiego. Od nich, od ojca i jego przyjaciół nasłuchał się p. Stanisław zdarzeń co niemiara, jak ogier Karosz zdusił w swych pętach wilka, jak brytan Mysinek sam wtór potykał się zwycięzko z sześciu wilkami, jak podchmielony Baracz, zwabiwszy głosem wilki, spadł na nie z drzewa, jak szynkarza Abramka oblegały wilki w suchej wierzbie i jak go pożegnały i t. d. A kiedy p. Stanisław, pasowany na myśliwca przez pomazanie policzków krwią zajęczą, zbliżył się do koła zawołanych synów Nemroda, usłyszał natenczas bolesną i straszną opowieść, wyjaśniającą, dla czego p. Zubrawa pozostał bezżennym i dlaczego na schwał tępił wilki przez całe życie. Doczekał się wreszcie opowiadacz, że u boku ojca sam wziął udział w polowaniu na szkodniki, a potem co większa, był jednym z tych, którzy dzielnego p. Rozyńskiego wybawili od wilków, kiedy to, wskoczywszy pod krzyż z dzieckiem na ręku, bronił się od nich pałaszem. Wszystko to i wiele innych rzeczy opowiadał nam p. Stanisław z Zaleszczyc.

Opowiadanie toczy się gładko, bo autor staropolską swadę posiada i włada jędrnym, malowniczym językiem, nie tym, wyperfumowanych komnat miejskich, lecz tym z otworzystych i woniejących pól i lasów.

Obok paru scen tragicznych rozsypał garść, całą anegdot i komicznych wydarzeń, do zdrowego szczerego śmiechu pobudzających a kiedy niekiedy nasuwa też głębszą, ogólniejszej treści uwagę. Czemuż to np. w kółkach domowych nie gwarzą teraz tak mile dla siebie, a pouczająco dla młodzieży, jak to gwarzono w Zaleszczycach? I starzy i młodsi, czytając „Mozaikę", ubawią się rzetelnie, nie jednej rzeczy nowej się dowiedzą i pomyślą pono, że utwór belletrystyczny może być wyśmienitym bez ckliwego romansu i naciągającej intrygi. Po za zwykłym czytelnikiem, miłośnik polowania znajdzie w książce p. Machczyńskiego sporo doświadczeniem wypróbowanych rad i wskazówek dla siebie, tudzież przepisy szczegółowe, jak sporządzać dla wilków witeruki, obwłoki i zanęty jak stawiać słupy i kopać doły. Zamykając „Mozaikę" zastosujemy do niej słowa protoplasty myśliwych-autorów Mateusza Cygańskiego „Nikt nie znudzi czasu próżno, kto czyta te sprawy — to są zawsze uczciwe zabawy".

Głosy publiczności.

Na zabezpieczenie bytu ochronki Wielebnych Sióstr Służebniczek w Łyścu, w domku swoim rodzinnym Straszowej, raczyli złożyć na ręce moje WP. Słomowie 100 zł., WP. Kwiatkowska 10 zł, WP. Piątkowska jeden dukat w złocie, za co im najserdeczniejsze „Bóg zapłać" stokrotnie niniejszem przesyłam z gorącą a pokorną prośbą do Boga, Ojca sierót i opuszczonych, by temuż ubogiemu zakładowi jeszcze wiele szczodrych dobrodziejów przymnożyć raczył.

Lwów 14 listopada 1896.

† *Isaak Mikołaj Isakowicz*,
Arcybiskup orm. kat.

* *
*

Ks kanonik Szymonowicz poleca sercom litościwym biedną damę z dzieckiem. Ofiary mają być składane jedynie u księdza kanonika Szymonowicza, Lwów, kapituła ormiańska.

Część ekonomiczna

Wiedeń, 17 listopada.

(Z.). Cokolwiek przyjaźniejsza tendencya cechowała dzisiejsze obroty. Zrobiono kilka znaczniejszych transakcyi w kredytach i statsbanach. Na kurs kredytów wpłynęła korzystnie błaha zresztą wiadomość, że Zakład kredytowy zamierza nabyć fabrykę naboi w Hirtenbergu i przemienić ją w towarzystwo akcyjne, statsbanom zaś pomogło do zwyżki zaniechanie ataków przez berlińską kontrminę. W innych kategoryach papierów ruch był bardzo mały a różnice kursów nieznaczne. — Z Paryża donoszą, że parlament francuski prawdopodobnie przyjmie wniosek o dozwolenie emisyi małych akcyi po 25 franków, przez co przybędą giełdzie setki tysięcy nowych klientów z pomiędzy najuboższych warstw społeczeństwa. Do przyjęcia tego wniosku skłania parlament ta okoliczność, że małe akcye są nadzwyczaj lubione we Francyi, a ponieważ ustawy francuskie zabraniają ich emisyi, przeto publiczność kupuje angielskie walory tego rodzaju i straciła już na nich przeszło miliard franków. We Francyi do r. 1893 nie wolno było wypuszczać mniejszych akcyi jak po 500 franków, w roku 1893 zezwolono na emisyę akcyi po 100 franków. Atoli i te papiery są dla wielu za drogie, publiczność zaś francuska lubi grać, więc zaczęła namiętnie kupować angielskie akcye kopalniane. Ustawodawstwo angielskie nie zna żadnych ograniczeń co do wartości nominalnej akcyi, to też rozmaite angielskie towarzystwa kopalniane w Transwaalu, nie mogąc dostać od wielkich banków pieniędzy, wpadły na pomysł wydobycia ich od ubogich warstw ludności. Zaczęły więc wypuszczać akcye po 1 funcie szterlingów, potem jeszcze mniejsze, bo po 10 szylingów, po 5, ba nawet po 1 szylingu (60 ct.). Sukces był kolosalny i w ciągu krótkiego czasu powstało kilka tysięcy rozmaitych spółek kopalnianych, wypuszczających tego rodzaju akcye.

Fluktuacye kursu tego rodzaju papierów były wprost bajeczne, w ciągu kilku dni zdołano wyśrubować ich kurs o 200 i o 300 pct. Wnet rzuciła się publiczność francuska do kupowania tych papierów, ale zaczęła je kupować wtedy, gdy kurs ich był już niemożliwie wysoki. I gdy francuska publiczność ulokowała w tych papierach przeszło miliard franków, zaczęto w Londynie zbijać ich kurs, przez co przyprawiono Francuzów o kolosalne straty. Wobec tego postawiono w parlamencie wniosek o zezwolenie na emisyę tego rodzaju akcyi we Francyi, bo przez to odciągnie się publiczność od kupowania angielskich papierów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 364·60, węgierskie 401·25, Anglobanki 153·25, Uniony 290·50, Bankvereiny 256·25, Länderbanki 245·—, Ludwiki 217·40, Czerniowieckie 286·50, Elbethale 273·50, Renta papierowa 101·35, srebrna 101·20, austryacka złota 122·55, austr. renta wal. kor. 101·10, węgierska złota 122·05. węgierska renta wal. kor. 99·10. dukat 5·70. 20-frankówka 9·53½, marki 11·76, ruble 1·27½.

§ **Z kolei.** Z dniem 1 grudnia 1896 zostanie otwarty dla ruchu osobowego i pakunkowego przystanek Wierchomla, leżący między stacyami Piwniczną i Zegiestowem na linii Tarnów-Orłów. Bilety jazdy będą wydawane w przystanku, wysyłka zaś pakunków odbywać się będzie za opłatą w stacyi odbiorczej.

Kolej lokalna Mor. Budwitz-Jamnitz ze stacyami a względnie przystankami Jatzkan, Dieditz, Prebelowitz i Jamnitz została oddaną do publicznego użytku dnia 9 listopada 1896. Stacye Prebelowitz i Jamnitz urządzono dla ogólnego ruchu, przystanek Dieditz dla przewozu osób, pakunków, przesyłek pospiesznych, tudzież towarów w ładugach całowozowych, przystanek zaś Jatzkan tylko dla przewozu osób i pakunków.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 19 listopada. (Z komisyi budżetowej) Komisya budżetowa załatwiła etat ministerstwa handlu i pocztowej kasy oszczędności. Minister handlu G l a n z na zapytanie w sprawie ustawowego uporządkowania kartelów, oświadczył, iż nie jest ani obrońcą ani przeciwnikiem kartelów, gdyż istnieją kartele pożyteczne i szkodliwe. Przeciw kartelom najłatwiej działać za pomocą nowych karteli. Dotychczas sprawa kartelów nie została zadowolniająco rozwiązaną w żadnem państwie. Rząd zastanawia się nad tą sprawą. W sprawie pocztowych kas oszczędności oświadczył p. Glanz, iż w urzędowaniu w tych kasach używa się ośmiu języków krajowych i że wkrótce, jeśli to tylko będzie możliwą, dopuszczonem zostanie w tych kasach reeskontowanie weksli, to znaczy, że prywatne osoby nie mogą eskontować swych weksli, lecz tylko banki będą mogły reeskontować weksle tych osób, którym pożyczyły pieniądze. P. R u t o w s k i domagał się, aby kasy pocztowe w znaczniejszej niż dotąd liczbie zakupywały papiery galicyjskie.

W dalszym ciągu komisya budżetowa przyjęła rezolucyę wzywającą rząd, aby zachowując w całej pełni przepisy ustawy o odpoczynku niedzielnym, przy wykonaniu jej uznał niektóre przepisy uciążliwe dla kupców i przemysłowców, a nadto przyjęła wniosek wzywający rząd, aby stworzył i prowadził statystykę przemysłową.

P. R u t o w s k i zabrawszy raz jeszcze głos, popierał sprawę kanałów łączących Dunaj z Odrą i Dunaj z Mołdawą i Łabą, które zdaniem mówcy znacznie przyczyniłyby się do podniesienia rolnictwa w Czechach, Austryi dolnej i na Węgrzech. Kanał, łączący Dunaj z Odrą jest nadzwyczaj ważnym prawie dla wszystkich krajów monarchii austryackiej bardzo łatwo może być wybudowany i wielkie będzie przynosił dochody. W dalszym ciągu omawiał dr. Rutowski sprawę regulacyi górnego Dniestru. W końcu zaś przemawiał za utworzeniem nowej posady inspektoratu przemysłowego dla zachodniej Galicyi. Następne posiedzenie dzisiaj.

Konstantynopol 19 listopada. Walne Zgromadzenie Ormian wybrało biskupa Ormenianca patryarchą. Wybór odbył się spokojnie.

Paryż 19 listopada. Podczas dyskusyi nad interpelacyą Castelina w sprawie Dreyfusa, deputowany Castejo postawił porządek dzienny, w którym wnosi, aby izba wyraziła zaufanie rządowi i nad interpelacyą w sprawie Dreyfusa przeszła do porządku dziennego. — Rząd zgodził się na ten porządek dzienny, a izba jednogłośnie go przyjęła.

Wiedeń 19 listopada. Z powodu imienin Cesarzowej odbyła się dziś rano w kaplicy cesarskiej cicha msza, na której była obecną para Cesarska. W wielu kościołach i świątyniach odbyły się dziś uroczyste nabożeństwa.

Budapeszt 19 listopada. W obecności reprezentantów wszystkich władz, tłumów publiczności, odbyły się dziś rano nabożeństwa z powodu imienin Cesarzowej we wszystkich świątyniach Pańskich. Z gmachów rządowych oraz wielu domów prywatnych powiewają flagi o barwach cesarskich.

Wiedeń 19 listopada. *Fremdenblatt* podnosi z naciskiem tak, że podczas poniedziałkowej debaty nad wnioskiem nagłym Pattaja, także zjednoczona niemiecka lewica, jako też konsolidująca się dopiero partya postępowa głosowały za tym wnioskiem, a przecież są to partye, którym z pewnością nie można zarzucić tendencyjnego występowania przeciwko Węgrom i które wcale nie idą za sztandarem Luegera. Pismo to wzywa tedy węgierskie dziennikarstwo, aby nie wmawiało w austryacką antysemicką frakcyę, że stała się nadającą ton w państwie.

Ponieważ nietylko z ławy rządowej nie zaniedbano odeprzeć ubocznych zamiarów wnioskodawcy, przeto Izba tem spokojniej mogła przyjąć wniosek postawiony w duchu luegerowskim, który to wniosek zawiera życzenia nie wybiegające ze sfery legalnej.

„My bowiem — zauważa *Fremdenblatt* — poczuwamy się do równego prawa bronienia naszych ekonomicznych interesów z tą samą wytrwałością co Węgry. Poważamy i cenimy poczucie samodzielności Węgier, byłoby jednak fałszywem identyfikować popisywanie się z nieprzyjaznem dla Węgier usposobieniem z samą ideą Austryi. Cześć i powaga Austryi doznaje uszczerbku w tych nieprawdziwych enuncyacyach, które przedstawiają Austryę jako państwo opanowane przez węgrożerców. Czas już najwyższy wrócić do spokojnej, beznamiętnej krytyki rzeczowych faktów. Zarzut wywołania nieporozumienia nie dotyka w każdym razie rządu węgierskiego i od dalszego niezamąconego, na wzajemnej ufności opartego współdziałania obu gabinetów spodziewamy się, że ugoda obie połowy monarchii zadowalająca stanie się możliwą".

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 19 listopada (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216 — do 219.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 285.— do 290.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 385 — do 395·—, Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat 99.80 do 100.50, 4 proc. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat 100.40 do 101.10. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 56 lat 97.40 do 98.10.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.20 do 97.90. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 103.— do —.—. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.63 do 5.73. Napoleondor 9.50 do 9·60. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.27 do 1.28. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.—

Wiedeń 18 listopada. Notowania wieczorne. Kredyty 364·62, węgierskie kredyty 402·00, anglobank 153·25, bankverein 256·50, unionbank 290·00, länderbank 244·75, staatsbahny 353·50, lombardy 97·75, elbethale 273·50, akcye tytoniowe —·00, rima —.—, alpiny 84·50, renta majowa 101.35, węg. renta koronna 99·20, losy tureckie —.00, marki 49·40, ruble 128.—.

25)

POWRÓT

przez

Th. BENTZONA.

(Ciąg dalszy).

— Oh! — mówiła dalej z tem samem uniesieniem, szlochając, — oddałabym mu wszystko, co do grosza; ale on mnie nawet nie pyta... tylko sam, niby prawnie bierze. To także jeden ze zwyczajów Francyi, że kobieta ani szelągiem nie rozporządza, że jej nie zdają rachunków z tego, co jest jej własnością. Nioby mnie to zresztą nie obchodziło, gdyby... ale niestety! ma kochanki...

— Kochanki?.. Zkąd wiesz o tem?

— Z półsłówek, z domysłów... Upadłam bardzo nisko, Regino... doszłam do tego, że przetrząsam jego szuflady, że go śledzę, że się unoszę gniewem, czego on nadewszystko nie znosi... Tak, masz słuszność, to bardzo źle... Ale ja nigdy nie miałam podniosłych uczuć, nie miałam nigdy charakteru... Byłam zepsutem, rozpieszczonem dzieckiem, z którem się trzeba było pobłażliwie obchodzić. Teraz nikt mnie nie psuje!... o nie!.. Nie mam nawet tej pociechy, żebym była ładna. Widzę to w oczach ludzi, którzy na mnie patrzą, a przedewszystkiem w oczach mego męża. Zbrzydłam z mojej własnej winy... Dręczę się, gorączkuję, niszczę zdrowie. Jakżeby Gracya za mnie się wstydziła, ona, tak pełna godności, tak umiejąca panować nad sobą! Szczęśliwa Gracya! nie ma powodów do zazdrości! Oh! Regino, powiadam ci, że Lily umarła, ale jest w niej jeszcze cząstka udręczonej i zrozpaczonej istoty, która pragnie przestać cierpieć... Gdyby nie to, że lękam się Boga i jego sądu...

— Cicho bądź! — zawołała Regina, przerażona jej słowami. — Na imię twej matki zaklinam cię, cicho bądź!

Pozwoliła jej wypłakać się, i zwolna, łagodnie starała się ją uspokoić i przekonać, że może niewłaściwych środków używała w postępowaniu z mężem; że prawdopodobnie znudziła go swemi wymaganiami, wyrzutami; że jeszcze czas ratować resztki domowego szczęścia; że z drobnych wad niepowinna robić zbrodni; że w każdym razie przebaczeniem powinna odzyskiwać serce męża. Mówiła bez wiary w swe słowa, ale widać dosyć przekonywająco, gdyż wrażliwa, łatwo od rozpaczy do nadziei przerzucająca się Lily zaczęła jej słuchać z uwagą.

— Nikt mnie dotąd nie wsparł dobrą radą. Byłam sama przeciw wszystkim.

— Walka przeciw pojęciom świata, do którego przez swe małżeństwo musisz należeć, nie może przynieść dobrych skutków. Powinnaś się poddać jego zwyczajom. Pan de Cerdon będzie ci za to wdzięczny.

— Tak sądzisz?...

— Jestem tego pewna. Przytem nie trzeba grymasić, nie trzeba być dzieckiem, droga Lily, lecz kobietą rozsądną.

— To prawda, że wszyscy uważają mnie za dziecko, nie mam żadnej w domu powagi, i że Raul zostawia mnie samą, dla tego zapewne, że go swoim płaczem nudzę.

— Widzisz, sama to przyznajesz. Cokolwiek odważ... a wszystko będzie dobrze.

Lily zupełnie się uspokoiła.

— Będziemy się często widywały? wszak prawda, droga Minerwo? — Tak niegdyś w domu pani Harris nazywano poważną Reginę. — Teraz mam przyjaciółkę, która w trudnych chwilach wesprze mnie swoją radą. Ale dość już o mnie; mów teraz o sobie.

— O sobie nic nie mam do opowiadania, moja droga Lily, chyba tylko to, że w całej rozciągłości tego słowa urzeczywistniłam moje młodzieńcze marzenia. Pragnęłam śpiewać, a do tego śpiewać w Paryżu. Sztuka podnosi nas tak wysoko, że wszystko, co nią nie jest, wydaje nam się małem i pospolitem! Postaraj się także zająć czemś pożytecznem.

— Teraz nic mnie zająć nie zdoła; zresztą wiesz, że nie posiadam żadnego talentu.

Ale zajmij się domem, Lily, i dobremi uczynkami!.. Wszak jest tylu nieszczęśliwych, potrzebujących pomocy.

— Sądzisz więc, że jeśli będę dobra, łagodna, poddająca się losowi, to mnie będzie kochał, jak dawniej?

— W każdym razie będzie cię szanował.

Lily skrzywiła się, jakby chciała powiedzieć, że szacunek nie wiele ją obchodzi.

— Będzie i kochał, gdy zobaczy, że starasz mu się przypodobać.

I że przestałam go dręczyć... bo w ostatnich czasach byłam prawdziwą furyą... Raul swoim spokojem ma zawsze nade mną wyższość. Bierze kapelusz i wychodzi, gdy tymczasem ja wyrywam sobie włosy, wzywając śmierci. Dla tego tak zbrzydłam. Cóż więc dziwnego, że przestał mnie kochać?

— A zatem postaraj się wyładnieć, przyjdzie ci to z łatwością! Teraz bądź zdrowa. Dziś wieczór śpiewam „Don Pasquale".

— Oh! pójdziemy cię posłuchać; to pierwsza rzecz, o którą go poproszę! Dziękuję ci za pociechę, jakąś mi wlała w duszę.

Regina pożegnała spokojnie panią de Cerdon ze ściśnionem sercem.

Mimowoli porównywała jej położenie ze swojem, i winszowała sobie, że pozostała wolną i nie jest niczyją zabawką, zabawką miłości, kaprysu lub udręczeń. To uczucie zadowolenia z posiadania siebie i przekonanie, że jej żadne poniżenie i zniewaga dotknąć nie może, odbiło się w zapale, brawurze i sarkastycznej werwie, z jaką w kilka godzin potem odśpiewała dowcipną rolę Noryny.

Ten wieczór zapewnił jej najzupełniejsze powodzenie, w Paryżu zdobyła sobie uznanie i uwielbienie samego kwiatu towarzystwa i znawców, bywających na przedstawieniach włoskich.

Z pomiędzy mnóstwa bukietów, jakie jej, przy końcu ostatniego aktu przyniesiono do loży, najpiękniejszy bukiet był od margrabiego de Cerdon, wraz z biletem, w którym jej wynurzał swoje uwielbienie i prosił o pozwolenie złożenia swego uszanowania.

— Zapewne byli oboje w teatrze, tak jak to Lily pragnęła — mówiła do siebie Regina z radością. — Pogodzili się widać... i to dzięki mnie. Ta dobra i naiwna Lily niezawodnie mu powiedziała, żem stawała w jej obronie i jest mi za to wdzięczny. Może on w gruncie lepszy, niż się zdaje. Nigdy bukiet nie zrobił mi tak wielkiej przyjemności.

Oddzieliła go od innych bukietów i umieściła w małym saloniku, przeznaczonym do przyjmowania wybrańszych gości. Nazajutrz rano napawała się wielce jego wytworną wonią, kiedy dał się słyszeć dzwonek. Była pewna, że to pan de Cerdon uprzedził zwykłą godzinę odwiedzin i nie miała mu tego za złe, ani widziała w tem nic dla siebie ubliżającego, gdyż była przekonana, że go niecierpliwa Lily tak wcześnie z domu wysłała.

Tymczasem nie margrabia wszedł do pokoju, lecz jego żona, i pierwsze zaraz wyrazy, jakie wymówiła, mocno zaniepokoiły Reginę.

— Wszystkie moje piękne postanowienia, jakiemi mnie natchnęłaś, spełzły na niczem i spowodowały tylko nową kłótnię. Widocznie nie chce pozostawić mi żadnej pociechy, żadnego środka ratunku. Nie wiem, Regino, jak ci to powiedzieć; rumienię się za niego, lękam się, byś się nie obraziła... ale nie, tego rodzaju zniewagi nie mogą cię dotknąć...

— Nie pozwala ci widywać się ze mną — przerwała artystka, domyśliwszy się natychmiast, o co idzie

W takim razie, cóż znaczy ten bukiet, i te zapowiedziane odwiedziny?... Twarz Reginy oblała się rumieńcem i, jak przez sen, słuchała nieśmiałego jąkania się pani de Cerdon, opowiadającej, jak mąż usiłował ją przekonać, że bez ubliżenia sobie nie może widywać w swym domu „kobiety z teatru", że w wielkim świecie nie jest to przyjęte, że może ją to zgubić w opinii ogółu; jednem słowem, kazał jej, pod jakimkolwiek bądź pozorem, trzymać z daleka swoją dawną przyjaciółkę i nie przyjmować jej wcale.

— Jak widzisz, nie starałam się o wynalezienie żadnego pozoru — dodała Lily z zapałem; — nie miałam nic innego do zrobienia, jak przybiedz do ciebie natychmiast. Przyszłam piechotą, pokryjomu, żeby ci powiedzieć prawdę, błagać o przebaczenie za niego, że cię nie umie godnie ocenić, za siebie, że muszę mu być posłuszną.... i przysiądz, że zarówno z bliska, jak z daleka, będę cię zawsze kochała. Wszak temu wierzysz, nie prawdaż?... Nie miej mi tego za złe — dodała, klękając przed Reginą z dziecięcym i pieszczotliwym wdziękiem. — Jestem niewolnicą; pogardzaj moją niewolą, ale mnie za nią nie karz. Jest nieszczęśliwsza, niż ci się zdawać może.

— Moja najdroższa — rzekła Regina serdecznym i drżącym głosem; — w tem wszystkiem ja najwięcej zawiniłam; nie powinnam była iść do ciebie, nie wiedząc, czy pan de Cerdon życzy sobie, żeby Christen zbliżyła się do jego żony; jedynem mojem usprawiedliwieniem jest to, żem zbyt żywo zachowała w pamięci miejsce, jakie dobra twoja matka wyznaczyła Reginie przy swoich córkach; ale ja nie jestem już Reginą, chyba tylko w twoich i swoich oczach. Jaką różnicę mogą robić ci, co mnie nie znają, między mną a pewnemi istotami, noszącemi także nazwę kobiet z teatru?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fiałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Zorza.) Zarządca W. Hedak.